Kurjer literacko naukowy

ROK III. WYCHODZI W NIEDZIELĘ JAKO BEZPŁATNY DODATEK NR. 41

Tetralogja Walpole'a

GENEALOGJA „SAGI RODU HERRIESÓW"

Hugh Seumour Walpole liczy lat pięćdziesiąt. Pisać zaczął na kilką lat przed wojną światową, a choć pobyt w Rosji i w armji rosyjskiej w charakterze ochotnika sanitarjusza i późniejsze cywilne funkcje w ministerjum wojny odciągnęły go na dłuższy czas od pracy literackiej ma w swym dorobku około trzydziestu powieści i zbiorów nowel. Można tu odróżnić różne grupy geograficzne, wedle głównego tła utworów — a więc kornwalijską, polczesterską (wedle miasta Polchester, odpowiadającego w rzeczywistości Exeterowi) i rosyjską (opartą na wspomnieniach z wojny i rewolucji). Obecnie dodał Walpole do nich grupę cumberlandzką, na którą składają się cztery powieści: „Łotr Herries", „Judyta Paris", „Twierdza" i „Wanessa"; objęte wspólnym tytułem „Sagi rodu Herriesów".

Pisząc swego czasu na tem miejscu o twórczości Walpole'a, wykazywałem u niego wpływy szeregu poprzedników — Scotta, Thackeray'a, Trollope'a, Jamesa, Conrada i Galsworthy'ego, zaznaczając jednak, że umiał obce pierwiastki sobie przyswoić i nigdy nie popadł w niewolnicze naśladownictwo. W „Sadze rodu Herriesów" widać również pewną zależność. Powieści te stanowią kronikę rodzinną dwustu lat, rzuconą na tło historji Anglji, głównie obyczajowej i kulturalnej, chociaż dzieje polityczne oraz polityczno-społeczne nie pozostają bez echa.

Tym sposobem Walpole rozszerzył w stronę odleglejszej przeszłości schemat Galsworthy'ego, który w dwóch trylogjach o Forsyte'ach i trzeciej, związanej z poprzedniemi, przedstawił pół wieku. Stworzył tym sposobem obyczajową odmianę powieści historycznej. Ale Forsyte'owie żyją, działają i robią majątki głównie w Londynie. Wieś w hrabstwie Dorset, z której przywędrowali, pojawia się jedynie epizodycznie w czasie sentymentalnej wycieczki Soamesa. Walpole przenosi scenę akcji do Londynu, do innych hrabstw angielskich i na kontynent. Lecz jego Herriesowie, choć rozrodzeni i potężni, nie zerwali węzłów. łączących ich z rodzinnem hrabstwem Cumberland z jego cudnemi jeziorami i górami. Jeżeli nie wszyscy, to najszlachetniejsi z nich (i najmilsi autorowi) czują pociąg do tych stron i bądź to wciąż je odwiedzają, bądź stale w nich mieszkają. Pociąga to za sobą opisy przyrody (efektowne, nieraz nastrojowe i przeważnie wspaniałe) oraz sceny z życia ludu (rzadsze, nieraz malownicze, ale nieoparte na gruntowniejszej znajomości środowiska). Jednem słowem Walpole połączył tu dzieje pokoleń Galsworthy'ego z regionalną powieścią Tomasza Hardy.

Jeżeli zaś idzie o sposób malowania życia, to nad „Sagą rodu Herriesów" unosi się duch Conrada. Czuje się, że dla autora ludzkie uczucia, porywy, wogóle przeżycia wewnętrzne są czemś równie istotniejszem, czemś, co zostaje na świecie mimo zgonu człowieka i wywiera wpływ na rzeczy, dziejące się po stu czy dwustu latach.

DZIEDZICZNOŚĆ

Walpole osiąga to wrażenie przez silny nacisk, jaki kładzie na dziedziczność. W rodzie Herriesów powtarzają się z odpowiedniemi modyfikacjami te same typy — do tego stopnia, że czytelnik czasem mógłby to przypisać metempsychozie. Jest pewien sen, który nawiedza kolejno członków różnych pokoleń — sen o białym rumaku, wydobywającym się potężnym wysiłkiem z lodowatej wody jeziora. To symbol wiecznie bojującej, a niezwalczonej natury ludzkiej.

Bohater ostatniej części Wanessy Benjie Herries, będąc starcem, bliskim ośmdziesiątki, rozczytuje się w pamiętniku Judyty Paris, z domu Herries, która ze wspomnień własnych i brata spisywała dzieje rodu. Lektura ta staje się dla niego czemś tak realnem, że rozpamiętując wypadki własnego życia, mimowoli włącza do nich wypadki z życia przodków. Nie wiemy, czy to starczy zamęt w myślach — anamneza.

Charakter i stosunek do otoczenia tego ostatniego protagonisty z cyklu Walpole'a tak przypominają postać i opinję protoplasty rodu, że Walpole zaznacza to nawet niezaszczytnemi przydomkami, nadawanemi im obom. Tytuł pierwszej powieści jest „Łotr Herries", tytuł pierwszej części „Wanessy" — „Łajdak" (możnaby zresztą użyć tej terminologji naodwrót, rogue a rascal to mniej więcej wszystko jedno). Mamy tu więc etykietę, która łączy obie postaci ludzi impulsywnych, skłonnych do wybryków, gardzących konwescją i skłóconych ze społeczeństwem. Lecz Walpole umiał dobrze ten sam typ indywidualizować i uniknął powtarzania się, które mu groziło. Może umyślnie stworzył sobie tę trudność, aby pokazać, że ją potrafi przezwyciężyć.

HERRIESOWIE PRZEDSTAWICIELAMI ANGLJI

Forsyte'owie Galsworthy'ego, to angielska wyższa klasa średnia. Herriesowie reprezentują wogóle angielską klasę średnią, tę, której naród zawdzięcza swą wielkość i trwałość swego bytu. Im bliżej jesteśmy końca tetralogji, tem wyraźniej zarysowuje się koncepcja autora, który parokrotnie zwraca na nią uwagę od siebie.

Oto obraz epoki wiktorjańskiej:

Anglja przodowała teraz światu, była w stanie materjalnego powodzenia i tryumfu, który doskonale odpowiadał charakterowi Herriesów. Żaden Herries nie odgrywał w niczem kierowniczej roli.. Poprostu byli oni wszędzie i wywierali wpływ na wszystko..

To znów strajk generalny w maju r. 1926 — w jego opisie Walpole wyraźnie rywalizuje z Galsworthy'm. Pragnie nie tylko żywo odmalować wielki wstrząs społeczny, ale go i wytłumaczyć. Stanęły z sobą do boju klasa niższa i średnia. Dlaczego średnia wygrała? Dzięki swej świadomości celu, energji i zdecydowaniu. Herriesowie nie dali obalić przez siebie stworzonego i sobie odpowiadającego porządku rzeczy. Anglja ocalała, bo miała silną klasę średnią. Rosja jej nie miała i uległa. Walpole ma słuszność i ma prawo tak rozumować — był w Petrogradzie podczas początku rewolucji i w Londynie podczas strajku generalnego.

Jakież są cechy Herriesów? Najlepiej wydobywa je najaw epoka ich największej świetności, epoka Wiktorji, więc warto wpleść jeszcze jeden cytat na jej temat:

Posuwali się naprzód jednym hufcem, nie mając dla świata doniosłości, a jednak wywierając na świat przez swe spokojne nastawanie na moralność, pewność siebie, cnoty domowe, patrjotyzm, głęboka podejrzliwość wobec cudzoziemca, wiarę Kościół, w Tennysona, w Izby Parlamentu, w rodzinę królewską.

Równocześnie są Herriesowie snobami, groszorobami, często obłudnikami, bywają też bezwzględni dla tego, kto wyłamuje się z szablonu.

DWA TYPY

Bo na razie poznaliśmy tylko typ powszechniejszy. Bo jest i drugi typ Herriesów, którego reprezentantem jest już protoplasta Łotr. U następnych Herriesów, należących do mniejszości, odmienność uzasadniona jest zwykle przymieszką krwi obcej (cygańskiej, francuskiej i niemieckiej u Wanessy). Większość osiąga swe trjumfy wytrwałością i przywiązaniem do utartych dróg, ale jest tępa. Mniejszość ma coś z obłąkania i coś z genjuszu. Góruje u niej uczucie, któremu swobodnie puszcza wodze. Dzięki temu przeżywa chwile i okresy takiego szczęścia, o jakiem Herriesowie zwyczajni nie mają wyobrażenia, i jakie równoważy długie lata biedy i poniewierki.

„Herriesowie mniejszości" są dla Walpole'a symbolem tego wszystkiego, co w Anglji odcina się od przeciętności, symbolem sztuki i poezji. Pogląd powieściopisarza odzwierciedla się wybornie w dialogu między dwiema epizodycznemi postaciami, spotykającemi się na przyjęciu u jednego z Herriesów na krótko przed wybuchem wojny południowoafrykańskiej.

Francuski socjolog Brun jest zdania, że coś załamuje się w Anglji, że jej rola władczyni świata należy do przeszłości. Przechodzi do uwag nad społeczeństwem: „Jesteście bardziej szaleni, niż jakikolwiek inny naród" (od niepamiętnych czasów mawiano tak o Anglikach i i Szekspir powtórzył to w „Hamlecie"), a przecie konwencjonalni".

Naturalnie pierwsze odnosi się do mniejszości Anglików — Herriesów, drugie do większości.

„Niepodobna tego zrozumieć — mówi dalej Brun, — szarpiecie i dręczycie swych szaleńców, dopóki żyją, a przecie jesteście z nich tak dumni po ich śmierci".

Na to odpowiada ironicznie angielski powieściopisarz Bertrand:

„Mamy natyle zdrowego rozsądku, że jak tylko nasi poeci napisali swe poezje, zabijamy ich. Naturalnie z wyjątkiem Wordswortha i Tennysona" — ludzi długowiecznych, którzy przeżyli swe natchnienie. „Ale ci byli obłąkani w bardzo młodym wieku i wyzdrowieli z tego".

Między jednym i drugim typem Herriesa musi panować wojna. Dlaczego?

Przeciętny Herries... jest dzielny, lojalny, patrjotyczny, pełen bojaźni Bożej, dobry dla swych kobiet i wspaniałomyślny dla każdego. Poprostu brak mu wyobraźni, a zrozumiałby, że typ Benjie'go jest wieczny. Nie można go się pozbyć przy pomocy przekleństw i wymyślań. Trzeba koniecznie zawrzeć z nim jakiś kompromis. Wsadź go do więzienia, skaż na wygnanie — a zawsze powróci.

Dlaczego dwa rodzaje Herriesów są tak do siebie niepodobne? Wedle Walpole'a są „dwiema połówkami całości". Życie nie jest zupełne bez nich obu. Gdyby większość nauczyła się godzić z mniejszością, Herriesowie rządziliby światem... Do tego czasu „sądzona im jest drugorzędność".

WALPOLE PO STRONIE MNIEJSZOŚCI

Autor tetralogji nie kryje się ze swą sympatją do Herriesów anormalnych. — Przebacza im wszystko — ponieważ umieją silnie i wytrwale kochać. Najgorszym może jest „Łotr Herries", który dał tytuł pierwszej powieści. Przecież poznajemy go, przybywającego do hrabstwa Cumberland z żoną i kochanką, którą później „sprzedaje na jarmarku". Lecz jego późniejsze uczucie do młodej cyganki przedstawione jest bardzo poetycznie i najwidoczniej w oczach autora okupuje jego winy.

Córka Łotra, Judyta, jest główną postacią dwóch następnych powieści. Wychodzi za Francuza, awanturnika, trudniącego się przemytnictwem, który za jej miłość płaci jedynie pożądaniem i nie jest bynajmniej wierny. George Paris popełnia ostatecznie morderstwo (z okolicznościami łagodzącemi) i pada ofiarą zemsty. Judyta zostaje później z litości kochanką opuszczonego przez żonę squire'a, a po jego zgonie wychowuje synka, biorąc równocześnie udział w wewnętrznej waśni rodzinnej. Dumny Walter prześladuje krewną swą Jennifer, chcąc ją wypłoszyć ze stron rodzinnych. Symbolem tej walki jest zbudowany przez niego tuż nad granicą posiadłości Jennifer olbrzymi, posępny dom, zwany twierdzą. Szpieguje, oczernia, podburza nawet przeciw Jennifer ludność — jest to okres wrzenia rewolucyjnego — i powoduje rozlew krwi. Lecz Judyta staje po stronie Jennifer i mieszkając z nią, wygrywa ostatecznie walkę z Walterem. Tę część tetralogji urozmaica niesamowita postać syna Waltera Uhlanda. Jest on kaleką fizycznym i moralnym. Walpole wzoruje go na szekspirowskim Ryszardzie III, zapożyczając nawet mimowoli pewne wyrażenia. Uhland ma wysoką inteligencję, ale nikogo nie kocha, a całą jego energię pochłania chorobliwa, potworna nienawiść do pięknego i szlachetnego Johna Herriesa, pochodzącego z innej linii rodu. Uczucie to potęguje się do nadludzkich rozmiarów, gdy John wykradł i poślubił siostrę Uhlanda, który go morduje i sam popełnia samobójstwo.

Judyta jest, zdaje się, z osób tetralogji najbliższa sercu autora i otrzymuje od niego dar, najwyżej może ceniony w Anglji z dóbr doczesnych, długowieczność. Umiera w dzień swych setnych urodzin.

Wnuczka jej Wanessa i syn Johna oraz Elżbiety, Benjamin, kochają się od dzieciństwa, lecz Benjamin, z natury włóczęga i wietrznik, długo waha się, czy poślubić Wanessę, gdyż boi się ją unieszczęśliwić. Gdy wreszcie pokonał swe wątpliwości, zachodzą chwilowe przeszkody, a Benjamin nie umie być blisko młodej kobiety, aby jej nie pocałować. Daje się on uwieść dziewczynie, która go w gruncie rzeczy nic nie obchodzi i, robiąc szlachetny gest, prowadzi ją do ołtarza. Wówczas Wanessa — znowu z litości — oddaje rękę bogatemu Ellisowi i przez długie lata błyszczy w londyńskiem towarzystwie jako Lady Herries. Jest jednak nieszczęśliwa. Ellisa myśl, że żona go nie kocha, doprowadza do obłędu — i Wanessa ucieka do Benjamina, którego żona dawno porzuciła. Po kilku latach szczęścia wraca jednak do zupełnie obłąkanego męża i opiekuje się nim do swej śmierci. Dzieje Sally, córki jej i Benjamina, doprowadzają powieść do r. 1930. Autor kończy charakterystycznym dla dzisiejszej Anglji akcentem pacyfizmu. Sally po zawodzie miłosnym znajduje ciche szczęście w małżeństwie z Francuzem, który stracił wzrok pod

Verdum, mieszka w Berlinie i służy sprawie międzynarodowego braterstwa.

WADY I ZALETY TETRALOGJI

Nie wyczerpałem tu całej treści cyklu. W olbrzymiem tem dziele, napisanem przez Walpole'a w ciągu lat pięciu (od 24 grudnia 1927 do 26 października 1932) panuje widoczna nierówność. Są części wykonane wspaniale — np. rozwój obłędu Ellisa w „Wanessie" stanowi w swoim rodzaju arcydzieło. Bez zastrzeżeń również można chwalić pewne opisy — jarmarku w „Łotrze Herriesie", strzyżę owiec i egzekucję młodego chłopca za kradzież kilku szylingów w „Judycie Paris". meczu bokserskiego, wyścigów pieszych i nieudałej rewolucji z 10 kwietnia 1848 w „Twierdzy", jubileuszu królowej Wiktorji i strajku generalnego w „Wanessie", balów i przyjęć we wszystkich powieściach.

Są jednak i części rażące rozwlekłością, napewne zbyteczne. W gruncie rzeczy całość rozpada się na epizody, czytelnik za mało ma poczucia jedności utworu. Brak też Walpole'owi humoru, choć umie czasem stworzyć dobrą sytuację — np. pobyt Elżbiety, córki Waltera, jako guwernantki w małomieszczańskim domu, gdzie ją wszyscy mężczyźni prześladują miłością („Twierdza") lub scena z „Wanessy", której bohaterką jest plotkarka z rodu Herriesów. Chciałaby ona w salonie kuzynki pogadać o Wanessie i Benjaminie, lecz obecnych jest kilku literatów, między nimi Oskar Wilde, i ci wciąż kierują rozmowę na sztukę. Ostatecznie biedna Violet odchodzi dawszy za wygraną. Naogół jednak odczuwa się przy lekturze „Sagi" niedostatek postaci scen komicznych. Natomiast nastrój tragiczny umie Walpole wytwarzać po mistrzowsku.

Jako całość, to tour de force nie dorasta poziomu kilku jego poprzednich powieści, nu. najlepszej z nich zapewne „Katedry", imponuje zato szczegółami, dobrem odmalowaniem tła obyczajowego i trafnem ujęciem charakteru narodowego Anglików.

WŁADYSŁAW TARNAWSKI

D. G. Rossetti „odbronzowiony"

Przechodzimy od pewnego czasu okres „odbronzowiania" wszystkich niemal wybitnych osobistości. I nie można się temu zbytnio dziwić: oblicza ich ukazują się nam w świetle legendy, osnutej dokoła nich przez współczesnych. Z legendy tej późniejsi pisarze czy historycy wybierają te czy inne zasadnicze tematy, by je powiązać w całość i zrekonstruować portret duchowy danej osoby.



D. G. Rossetti: Autoportret.

Z czasem jednak zmieniają się gusta i zainteresowania. Znajdą się inni badacze, wyszukają z życiorysów, kronik i legend nowe, więcej ich interesujące szczegóły, — i oto ukazują nam tę samą osobę „odbronzowioną", odartą może z uroku poetycznej legendy, lecz bliższą prawdy, bardziej ludzką i przez to łatwiej nam zrozumiałą, a nie mniej ciekawą.

Taką właśnie próbą odbronzowiania, jest wydane niedawne dzieło znanego francuskiego pisarza i historyka sztuki Lucjana Wolffa, o twórcy szkoły angielskich prerafaelistów, D. G. Rossettim.

* * *

Dante Gabriel Rossetti pochodził ze starej włoskiej rodziny, osiadłej we Vaste d'Ammone, małem miasteczku w Abruzzach. Ujrzał światło dzienne dnia 12 maja 1828, dokąd przeniósł się jego ojciec, zmuszony uciekać z Włoch przed prześladowaniem Ferdynanda, króla Neapolu

Ojciec jego, sam zdolny poeta, wychowywał syna w kulcie Dantego i jego poezji, — a wpływ ten wyczuwa się bardzo silnie w całej, bogatej twórczości D. G. Rossettie'go.

Była to zresztą rodzina nawskroś artystyczna, prócz ojca bowiem również i brat naszego bohatera był zdolnym pisarzem, krytykiem i poetą, a siostra, Krystyna wydała w r. 1866 tom własnych poezyj „The Prince's Progress".

Również i D. G. Rossetti zdobył sobie piękną kartę w literaturze angielskiej swemi licznemi utworami poetyckiemi, niedocenianemi może należycie.

Nas interesuje on tutaj jako jeden z najwybitniejszych malarzy angielskich z pierwszej połowy dziewiętnastego wieku, — obok Hogartha, Turnera i Wattsa, — i jako twórca szkoły prerafaelistów.

Żyjąc pod czarem poezji Dantego, szuka Rossetti swojej Beatriczy. Znajduje ją w roku 1850, jako 22-letni młodzieniec.

Przyjaciel Rossettiego, młody malarz Deverell, „odkrywa" w sklepie modystki przy Leicester Square młodą sprzedawczynię, dziewczę niezwykłej urody Była to Elżbieta Siddal, córka skromnego kupca ze Sheffield, dziewczę o smukłej postaci, delikatnej cerze, przepysznych miedzianozłotych włosach i głębokich oczach Madonny, ocienionych długiemi rzęsami.

Kiedy ją ujrzał Rossetti, oniemiał z zachwytu. Nic go nie obchodziło ani jej niskie pochodzenie, ani słaba konstytucja, ani protesty i niezadowolenie jego rodziny! Elżbieta stała się odrazu jego wymarzoną Beatryczą, jego gorącą, nieokiełzaną miłością. Rysy jej uwiecznia w całym długim szeregu obrazów i szkiców, — rysy wyidealizowane, wysubtelnione, owiane jakimś nadziemskiem urokiem.

I do historji i biografji Rossetti'ego przeszła piękna legenda o tej wiernej, niepohamowanej jego miłości do pięknej Elżbiety, miłości ekskluzywnej, silniejszej od śmierci.

* * *

Tę legendę właśnie obala obecnie Lucjan Wolff. Faktem jest, że Rossetti nie śpieszy się do poślubienia swej ukochanej. Dlaczego? na to pytanie trudno odpowiedzieć stanowczo Dużą rolę grał tu niewątpliwie fakt, że Elżbieta była gruźliczką, a stan jej zdrowia stale się pogarszał. Dołączały się do tego stałe kłopoty finansowe artysty, lubiącego wieść prawdziwe cygańskie życie. Ale obok tego, nasuwa się przypuszczenie, że Rossetti odczuwał silnie ów rożdźwiek duchowy jaki istnieć musiał między nim, a Elżbietą, skromną panną sklepową i modelką.

Charakterystycznym w tym względzie jest ustęp listu, wystosowanego przez Rossettie'go do matki, na krótko przed ślubem: „Ze wszystkich ważnych rzeczy, które chciałem zrobić jedynie dla spełnienia mego obowiązku lub zapewnienia szczęścia, — jest to właśnie ta, którą odraczałem do ostatecznych granic"...

Ślub odbył się 23 maja 1860. Młoda para jedzie do Paryża, skąd wracają niemal bez grosza. Zaczyna się pożycie małżeńskie, dalekie od tego ideału szczęśliwości, o jakim czytaliśmy dotąd w biografjach Rossettie'go.

Epilog krótki i tragiczny: W lutym 1862 małżonkowie są na obiedzie u Ch. Algernona Swinburne'a. Podczas obiadu dochodzi między nimi do gwałtownej sprzeczki. Rossetti zostawia żonę i wychodzi. Gdzie przepędził cały wieczór, — nikt nie wie. Ale gdy wrócił do domu — Elżbieta już nie żyła, — otruła się laudanum. Do sukni jej przypięta była karteczka z temi słowy: „Życie moje jest tak nędzne, że chcę z tem raz skończyć".



D. G. Rossetti: Beata Beatrix.



D. G. Rossetti: Mnemosine.

Szczegóły te były przez długi czas nieznane, a biografowie tłomaczyli śmierć Elżbiety jako nieszczęśliwy wypadek, spowodowany zażyciem przez nieuwagę większej niż normalnie dawki środka nasennego.

* * *

Znaną powszechnie jest rzeczą, że Rossetti do trumny zmarłej włożył ukradkiem zbiór swoich poezyj, — który następnie wydobył w roku 1869. Znaną też jest piękna legenda, iż po otwarciu trumny ujrzano na zwłokach Elżbiety jej przepiękne, bujne włosy, zupełnie niezmienione...

Natomiast, mniej znaną, a przynajmniej pomijaną dotychczas jest historja stosunku Rossetti'ego do pięknej żony jego przyjaciela Williama Morrisa Owa mrs. Morris, z domu Jane Burden, córka przedsiębiorcy dorożkarskiego, odegrała ogromną rolę w twórczości Rossetti'ego, który widział w niej wcielenie swego ideału piękna kobiecego.

I jeżeli w londyńskiem Tate Muzeum jeden z najlepszych obrazów Rossetti'ego „Beata Beatrix" uwiecznia rysy Elżbiety Siddal, — to jego „Memosine"; a w większym jeszcze stopniu „Astarte Syriaca", są hołdem złożonym piękności mrs. Morris, o której w swoim sonecie „Venus Syriaca" pisze, iż oblicze jej jest mu amuletem, talizmanem i wyrocznią."

A trzeba zaznaczyć, że przyszłą mrs. Morris poznał Rossetti jeszcze przed swym ślubem z Elżbietą. O stanie jego umysłu świadczy ustęp z listu do Hall Caine'a, listu pisanego znacznie już później, po ślubie:

„Poślubić jakąś kobietę, a później —
„gdy już jest zapóźno. — dojść do
„przekonania, że kocha się inną; —
„to najgłębsza tragedja, jaka może
„dotknąć człowieka".

Tak oto przedstawia się nam obraz wielkiego artysty, w ujęciu L Wolffa. Obraz, odarty z wyidealizowanych upiększeń, z romantycznej.. legendy, — ale może bardziej bliski prawdy i bardziej nam zrozumiały. Obraz prawdziwego „człowieka", który pragnął być rycerskim Kawalerem trzynastego wieku i całe życie strawił w pogoni za nieuchwytnym ideałem.

(R.)

Kolonizacja polska w Algierze

B. B. i rodzina Kohnów. — Historyczny wachlarz. — „Le prince de Mir". — Dwór książęcy w Rassauta. — Smutny epilog

Historja podboju Algeru przez Francję zaczyna się w sposób dość oryginalny, — od słynnego „coup d'éventail" (uderzenia wachlarzem), wymierzonego w roku 1827 konsulowi francuskiemu przez potężnego deja Algeru, Husseina.

Warto poświęcić parę słów kulisom tego incydentu, poza któremi znajdziemy enigmatyczne a fatalne litery B. B.

B. B. — to skrót potężnego domu handlowego Bacri et Busnach, a ściślej mówiąc, żydowskiej spółki rodziny Coen Bacri (klasycznych „Kohnów") z drugim żydem włoskim Naftalim Bou Djenah, nazywanym ogólnie Busnach.

Ta to spółka Bacri - Busnach przez długie lata miała prawie monopol na dostawy zboża z Algeru do Francji, zbierając miljony, a nie gardząc przy tem i mniej szlachetnemi interesami, jak szpiegostwem politycznem.

W roku 1827 dej Algeru, wyzyskiwany bezczelnie przez sprytnych, a zuchwałych żydów, kazał jednego ze szefów spółki B. B., Jakóba Bacriego, wtrącić do więzienia. W jego to obronie wystąpił ówczesny konsul francuski w Algerze, Deval, którego zirytowany dej trzepnął poprostu wachlarzem (czy nawet packą na muchy) i wyrzucił za drzwi.

I tak oto jeden z Kohnów przeszedł do historji: obrażona Francja stawia ultimatum, a po odrzuceniu tegoż, przygotowuje się do wojny.

W lipcu 1830 roku wojska francuskie wkroczyły do Algeru. Trzeba było jednak długich lat, wielkich ofiar i krwawych walk, zanim nastąpiło uspokojenie i zajęcie całego tego kraju, którego ludność odnosiła się zdecydowanie wrogo do najeźdźców. I dopiero rok 1844 uważać można za decydujący w historji Algeru: w morderczej bitwie pid Isly wojska francuskie rozbijają armję Abd-el-Kadera, który po kilku jeszcze rozpaczliwych próbach, poddaje się Francji z końcem roku 1847.

* * *

Pierwsze lata po zdobyciu Algeru zbiegły się z czasami powstania listopadowego. Rząd francuski życzliwem okiem patrzy na zaciąg emigrantów polskich w szeregi wojsk, przeznaczonych do Algeru. Mimo protestów ze strony władz emigracyjnych, kilkuset Polaków wstępuje do służby wojskowej w Algerze, — wśród których odznaczył się zwłaszcza pułkownik Tadeusz Horain i Aleksander Walewski, syn Napoleona i hr. Walewskiej.

Równolegle z akcją wojskową rozwija rząd francusk' akcję kolonizacyjną. Są to jeszcze nieśmiałe pierwsze próby, bez szerszego programu. Kolonizacja napotyka na duże trudności, gdyż Alger uważany był za ziemię niegościnną i niezbyt bezpieczną.

I tutaj pomyślano znów o licznych rzeszach polskich emigrantów. Akcja ta nie dała jednak poważniejszych wyników, a to zarówno z powodu negatywnego ustosunkowania się do niej sfer kierujących emigracji, jak i dla braku odpowiedniego materjału wśród emigrantów, nie przygotowanych i nie mających potrzebnej kwalifikacji do ciężkiej pracy na roli, w innym klimacie i w odmiennych warunkach.

* * *

Jedyną śmiałą i na większą miarę zakrojoną próbę kolonizacyjną w tym czasie podjął emigrant polski, ks. Świętopełk Mirski, „le prince de Mir", jak go tytułowano. Epizod to ciekawy, — totęż warto mu kilka słów poświęcić. Materjał czerpiemy z wydanej świeżo książki Jana St. Bystronia.*)

Genealogia „księcia na Mirze" wykazuje duże luki. On sam, w listach swych i dokumentach podpisuje się „Świętopełk Piast Mirski, regimentarz wojew. Augustowskiego, dowódca samodzielnych oddziałów powstańczych, kawaler Krzyża wojskowego".

Natomiast „Dziennik Narodowy" z dnia 29 kwietnia 1843 wspomina o Teofilu Mirskim, byłym podpisarzu sądu pokoju w woj. Augustowskiem, nie mającym prawa do tytułu książęcego. Podobno niezbyt czystą drogą dorobił się majątku i odkupił poprostu dyplom książęcy od któregoś z prawdziwych książąt Mirskich. W powstaniu brał rzeczywiście udział, dowodząc niewielkim oddziałem partyzantów.

Dość na tem, że po upadku powstania zjawia się w Levroux (dep. Indre), w paradnym generalskim mundurze i w otoczeniu licznej służby. Robi długi na prawo i lewo, opowiada o swych koligacjach z rodzinami panującemi, rozdaje stopnie wojskowe i medale.

Wreszcie, gdy mu ziemia zaczyna się palić pod stopami, wyjeżdża do Algeru; ze sprzedaży pozostawionych przez niego ruchomości uzyskali wierzyciele zaledwie 175 franków.

* * *

Do Algeru przybywa bez grosza przy duszy, ale uzbrojony w listy polecające od wpływowych osób.

Osiedla się z początkiem listopada 1835 r. we wschodniej części Mitidży, gdzie od rządu otrzymał wielką koncesję (4300 hektarów). Wedle umowy zobowiązany był spłacić rządowi cały kapitał do dwóch lat, osuszyć tereny bagniste i do pięciu lat doprowadzić cały obszar do pewnego stopnia kultury.

„Prince de Mir" osiada we fermie Rassauta i bierze się energicznie do pracy. W zręczny sposób nawiązuje przyjazne stosunki z tubylczą ludnością, narzuca jej swój autorytet, szanując jej zwyczaje i wiarę. „Prince de Mir" naprawdę zdobywa mir i szacunek ludności, wobec której paraduje chętnie we wspaniałym mundurze generalskim. Z farmy swej tworzy rodzaj udzielnego dworu, z całym sztabem służby, z całym szeregiem zabudowań jak stajnie, koszary, kuźnia, piekarnia, kantyna. W inwentarzu posiada 150 wołów i 75 pługów, — w ogromnym ogrodzie rosną morele, figi, drzewa morwowe i krzaki bawełny.

Nie zaniedbuje też pracy kulturalnej: buduje szkoły, szpital, aptekę, rzeźnię, obszerne magazyny. Cały niemal obszar koncesji zamienia się w pola uprawne, produkcja wzrasta z każdym rokiem. Mirski marzy o zorganizowaniu na wielką skalę eksportu do Francji.

Niestety, cała ta, na ogromną skalę zakrojona, gospodarka, wymagała wielkich, nieustannych wkładów. O zbyt produktów było trudno. a Mirski nie miał potrzebnych funduszów. Zaczyna się zadłużać, szuka finansistów do spółki, mającej ułatwić eksploatację koncesji.

Spółka taka rzeczywiście powstaje pod nazwą: Société d'exploitation des concessions du prince de Mir á la Rassauta". Ale i to nie wystarcza. Przedsiębiorstwo bankrutuje, a w roku 1843 „prince de Mir" traci koncesję z powodu niedotrzymania warunków umowy, zawartej z rządem francuskim.

W roku 1838 spotykamy już Mirskiego w Marsylji. Staje się zdecydowanym rusofilem, przechodzi na prawosławie, opowiada, że rodzina jego pochodzi z Rosji i spokrewniona jest z rosyjskim domem panującym.

Propaguje ideę zjednoczenia Słowiańszczyzny pod berłem rosyjskiem, — co spotyka się z ostrem potępieniem ze strony emigracji. W odezwie, podpisanej między innymi przez Mickiewicza i Goszczyńskiego, piętnują to wystąpienie Mirskiego jako „wysoką zdradę przeciw Narodowi polskiemu".

* * *

Tak oto wygląda, szkicowo zaledwie rzucona, sylwetka „księcia na Mirze", pierwszego polskiego kolonizatora Algeru.

P. J. Bystroniowi należy się prawdziwa wdzięczność za odszukanie i wydobycie na światło dzienne tych szczegółów i faktów, dotąd zaledwie fragmentarycznie znanych. (kr.)

*) Jan St. Bystroń: „Alger, kraj i ludzie", wyd. Książnica - Atlas, Lwów — Warszawa 1934.

Obserwatorjum w Greenwich

Kiedy król angielski Karol II. założył w roku 1675 obserwatorjum w Greenwich, miał na myśli cele czysto praktyczne i utylitarne. Zależało mu przedewszystkiem na tem, by można było dokładnie oznaczać długość geograficzną, rzecz pierwszorzędnej wagi dla marynarki angielskiej.

Kierownictwo obserwatorjum powierzył uczonemu duchownemu, wieleb. Johnowi Flamsteed, mianując go „królewskim astronomem" z pensją roczną w kwocie stu funtów szterlingów.

Skromna ta dotacja powiększała się stopniowo, nie wystarczała jednak na to, by można było uzupełniać i odnawiać materjał potrzebny do obserwacyj. Sprawa ta nabrała szczególnego znaczenia od chwili, gdy południk przechodzący przez Greenwich przyjęty został w całym świecie za podstawę do oznaczania długości geograficznej. „Noblesse oblige" — Greenwich, jedno z najstarszych obserwatorjów świata, leżące na 0° długości, musi też posiadać precyzyjne instrumenty, niezbędne w nowocześnie urządzonem obserwatorjum.

Dzięki ofiarności bogatego Anglika, Williama J. Yapp'a, otrzymało obecnie obserwatorjum w Greenwich nowy teleskop, stanowiący ostatnie słowo techniki, a skonstruowany przez firmę Howard Grubb, Parsons et Co.

Teleskop ten nie może co do rozmiarów równać się ze słynnym teleskopem na Mount Wilson. Z uwagi bowiem na to, że powietrze w okolicy Greenwich przesycone jest stale wilgocią, teleskop tak olbrzymiej wielkości nie oddawałby należytych usług. — i owszem, widzialność jego ucierpiałaby znacznie skutkiem nieuniknionej irradjacji.



Obserwatorjum w Greenwich.

Zasadniczym elementem nowego teleskopu są dwa zwierciadła umieszczone w jednej osi, w odległości 3.15 mtr. jedno od drugiego. Promienie gwiazdy koncentrują się w ognisku zwierciadła większego, skąd odbite padają na drugie mniejsze zwierciadło, by po ponownem odbiciu wrócić do pierwszego. Tam przechodzą przez umieszczony w samym środku otwór o średnicy 17.5 ctm., a definitywny obraz formuje się w odległości 60 ctm. poza zwierciadłem.

Dzięki temu urządzeniu można było zmniejszyć o dwie trzecie długość całego instrumentu.

Teleskop zaopatrzony jest w odpowiednie urządzenia mechaniczne, pozwalające na zwracanie go dowolnie w kierunku poziomym i pionowym. Umieszczony jest na stalowej osi, biegnącej równolegle do osi obrotu ziemi. Specjalny motor elektryczny służy do utrzymania teleskopu w potrzebnej pozycji, z uwzględnieniem obrotu ziemi.

Cały aparat zmontowany został na betonowej podstawie, kompletnie izolowanej od reszty budynku.

Obserwatorjum w Greenwich dysponuje pozatem całym szeregiem innych niesłychanie czułych aparatów do badania spektralnego, temperatury gwiazd itp., — usprawiedliwiając powszechną opinję swą, jako pierwszego i najlepszego obserwatorjum świata. (r.)

Obróbka lnu i wyrób płótna na Łemkowszczyźnie

Dzieje tkactwa na Łemkowszczyźnie łączą się ze staremi tradycjami uprawy i przeróbki lnu, którą zajmowano się od dawien dawna na Podkarpaciu, a szczególnie u podnóża Beskidu Niskiego. Wprawdzie niegdyś uprawiano len w całej Polsce, ale mimo to zwracała uwagę okoliczność, że więcej niż gdzieindziej sieją go w okolicach Krosna, Jasła, Gorlic, a szczególnie w górach na południe od nich położonych.

Fakt ten różnie próbowano tłumaczyć, n. p. Marcin Bielski odnosi początek tkactwa na Podgórzu do czasów Bolesława Chrobrego, który rzekomo osadził tu Niemców (zapewne jeńców wojennych) celem obrony południowej granicy, „ale że to był lud gruby i niewaleczny, obrócono je (Niemców) do roli i do krów, bo sery dobre czynią, drudzy też kądziel dobrze przędą przetoż płócien z Podgórza u nas bywa najwięcej".

Wzmianka Bielskiego (pominąwszy zasadniczą nieścisłość, gdyż Chrobry nigdy Niemców na Podgórzu nie osiedlał) może mieć o tyle pewną słuszność, że u stóp Karpat były ślady niemieckiej kolonizacji z czasów Kazimierza Wielkiego, a po wsiach osiedlonych niegdyś przez Niemców siano dużo lnu i wyrabiano płótna, co jako przykład zachęcający mogło oddziałać korzystnie na rozwój lniarstwa w okolicy.

W związku z tem rozwinął się w miastach i po wsiach podgórskich przemysł tkacki, którym zasłynęły Biecz, Jasło, Żmigród, Szymbark, Załawie, Krosno, Gorlice, przyczem największe blichy były w tych dwu ostatnich.

W dawnych aktach spotykamy często wzmianki o płótnie „miary podgórskiej", sprowadzanem z którejś z wymienionych wyżej miejscowości, widzimy też wszędzie cechy tkaczy i płócienników.

Przemysł lniarski przetrwał na Podgórzu, mimo upadku ekonomicznego, w jakim pogrążyły się miasta polskie w XVII i XVIII stuleciu, a po pierwszym rozbiorze Polski, gdy Podgórze przypadło Austrji i otwarły się nowe nienasycone rynki zbytu, rozwinął się na nowo.

Jeszcze w pierwszej połowie XIX w. kapitał ulokowany w tym przemyśle wynosił około dwóch miljonów złotych reńskich, a gotowe wyroby wysyłano wozami na Śląsk i do Węgier, gdzie zawsze chętnych znajdowały nabywców.

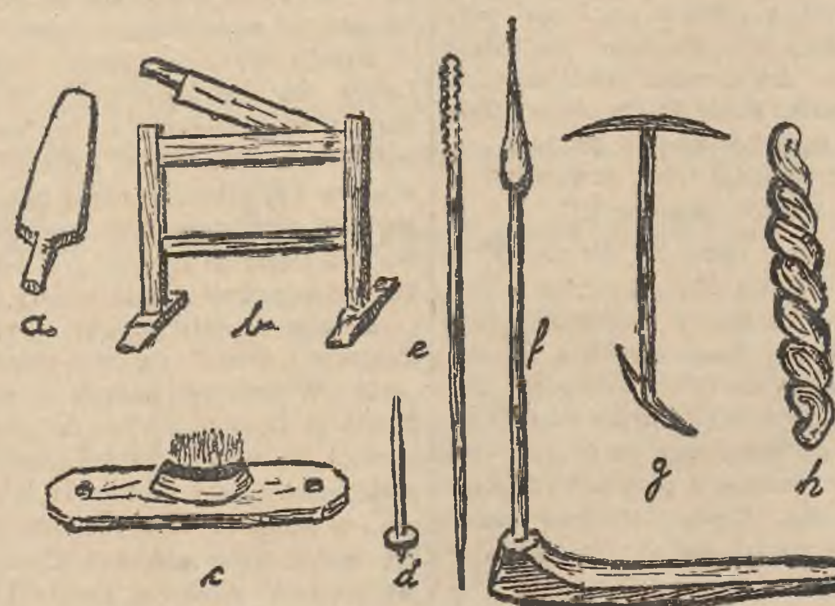
Dopiero w drugiej połowie XIX w. nastąpił upadek przemysłu tkackiego, który nie mógł konkurować z nowopowstającym przemysłem fabrycznym, zalewającym rynki tańszemi od lnianych wyrobami bawełnianemi. Zaczęły wtedy znikać po miastach tkackie warsztaty, mieszczanie, porzuciwszy rzemiosło, zaczęli się oddawać handlowi, po wsiach upadła uprawa lnu, gdyż chłopi nie umieli dostosować się do wymagań wielkiego przemysłu i zamiast powiększyć zasiewy lnu i zorganizować dostawy, ograniczyli uprawę lnu do minimum niezbędnego na własne potrzeby.

Dziś, prócz Krosna (gdzie jest szkoła tkacka), z pewnością w żadnem z miast podgórskich nie znalazłoby się ani jednego warsztatu tkackiego; tymczasem w górskich, konserwatywnych wioskach, zamieszkałych przez Łemków, wciąż jeszcze sieje się len i wyrabia piękne płótna, które ostatnio cieszą się wśród pań zasłużonym popytem.

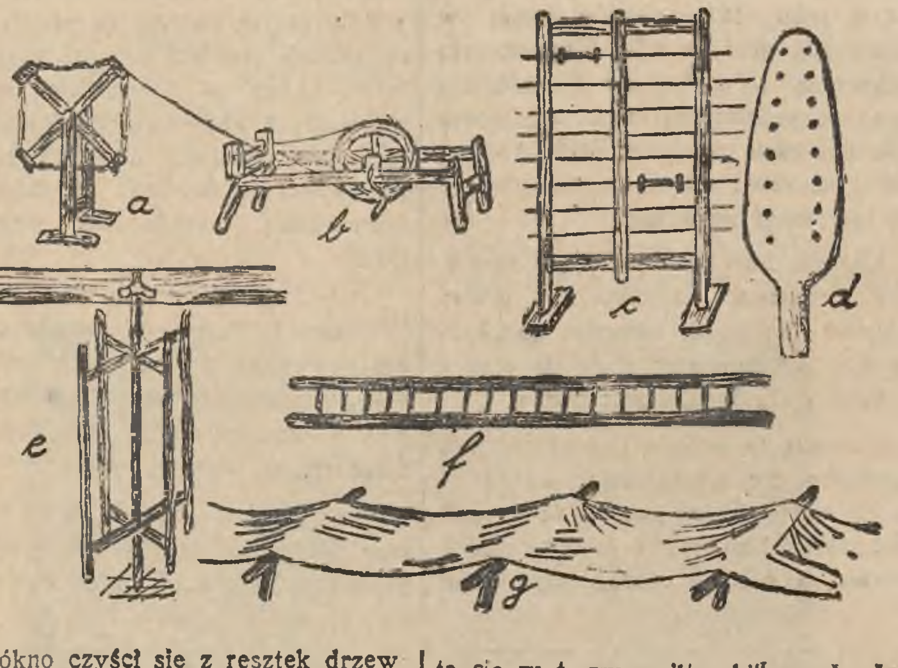
* * *

Teraz zkolei opowiemy o technicznej stronie przeróbki lnu, gdyż zapewne nie każdy z czytelników zdaje sobie sprawę, ile to czasu i trudu wymaga, aby z wątłej, niebiesko kwitnącej roślinki, wyczarować wąską wstęgę pięknego bielonego płótna.

Zamożniejszy gazda obsiewa lnem około 1/6 morgi pola, po jego dojrzeniu wyrywa się roślinki z korzeniami i wiąże



w małe snopki, które suszy się na piecu lub przed chatą, a następnie przy pomocy zwykłej kijanki, zwanej tutaj „pralnikiem"[1]) wymłóca się nasienie. Po młóceniu rozściełają len na łąkach i miedzach cieniutkiemi warstewkami do roszenia, które w suchszym czasie trwa 4 tygodnie, a podczas słoty o tydzień krócej. Ma to na celu spowodowanie łatwiejszego oddzielania włókna od drewna. Po roszeniu zwozi się len do domu, suszy po raz drugi i czyści na „gładzenicy" (po polsku międlica, rys. 1 b.), do obróbki na gładżenicy bierze się len maleńkiemi wiązeczkami, których 30 określaja jako jeden „głobik".



Włókno czyści się z resztek drewnika na przyrządzie zwanym „szczot" (rys. 1 c). Jest to deseczka z krążkiem najeżonym gwoździami; na szczocie rozczesuje się włókna, przyczem segreguje się na trzy gatunki, które odpowiadają trzem rodzajom przędzy, cienkie i delikatne przędziwo określają jako „lniane", grubsze jako „paczisky", a najgrubsze z resztkami drzewniaka zwą „kłoczа".

Włókno po obróbce na szczocie nadaje się do przędzenia, do którego służy „kudziel" (po polsku kądziel, rys. 1 e). W przeważającej części Łemkowszczyzny kudziel jest to prosty patyk leszczynowy, długi na 1 metr, zestrugany na jednym końcu graniasto i na krawędziach powycinany w ząbki, by się przędziwo nie zesuwało. W czasie pracy prządka snuje nić, a w prawej wiruje „weretieno" (wrzeciono, rys. 1 d), na którem nawija się nić.

U Rusinów pod Pieninami (Szlachtowa, Jaworki), a rzadziej u Łemków sandeckich, spotyka się „kudzil z presidką" i nasadzonym na pionowym patyku ruchomym „krużlem" (po polsku krężel). Kądziel ta uznana jest jednak za niewygodną w użyciu, bo „priadka" (prządka) nie ma wczasie roboty swobody ruchów, gdyż musi siedzieć na presidce. Prócz kądzieli używa się też czasem kołowrotka, zwanego tu „wuzok".

* * *

Nitkę z wrzeciona przewija się na motowidło, które u Łemków przybiera postać przedstawioną na rys. 1 g. Jest to kij długości około 80 ctm., na końcach którego osadzone są dwa lekko kabłąkowate patyki, które są do siebie równoległe, jednak nie leżą w jednej płaszczyźnie. Na motowidle odmierza gazdynia t. zw. „priadenka" czyli motki. Na jedno priadenko wypada 60 pasem, każde po 24 nitki, grubsze gatunki nitek mota się w t. zw. „piltoraki" zawierające tylko 30 pasem. Priadenka i piltoraki po zdjęciu z motowidła skręca się w specjalny sposób (rys. 1 h), by się nie plątały i wywiesza czasem do słońca, by nieco wybielały.

Gdy już wszystek len zostanie w ten sposób przerobiony, rozpoczyna się właściwa robota tkacka. Na Łemkowszczyźnie jest jeszcze dużo warsztatów tkackich, w jasielskiem, krośnieńskiem i gorlickiem jest w każdej wsi po kilku „knapów" (tkaczy), a w sandeckiem i u Rusinów pienińskich, gdzie gospodarka jest jak najbardziej samowystarczalna, niemal w każdym zamożniejszym domu spotykamy komplet narzędzi tkackich.

* * *

Wstępna praca tkacza polega na rozdzieleniu nici na osnowę i wątek (wutok). W tym celu rozkręca priadenka i zakłada na wijadła (rys. 2 a), jest to przyrząd podobny do wiatraka o czterech prostopadłych do siebie skrzydłach, ustawionych na ruchomej osi, tkwiącej w stojaku (stojaky) przy pomocy szpulara (rys. 2 b) przewija się nici z wijadła na dwie szpulki zwane fałfy i małe „ciwky" (cewki); 16 fałf zakłada się w dwu rzędach do specjalnego stojaka zwanego „szarwat", a stąd znowu przewija się na snowadła. Ażeby przy tej czynności nici się nie plątały, przewleka się końce nitek przez otwory specjalnego regulatora, zwanego „ocidzaczka" (rys. 2 d). Przypomina ona wyglądem kijankę, tylko, że wzdłuż obu krawędzi ma wywierconych 8 otworów.

Snowadła, są to dwie duże ramy, osadzone na pionowej osi, którą jest potężny drąg, sięgający od podłogi aż do specjalnej obsadki umieszczonej na środkowym tragarzu powały.

* * *

Jednorazowy nawój nici z 16 fałf, nazywa się „piłganok"; takich piłganków nawija się obok siebie 25 do 50, zależnie od zamierzonej szerokości płótna, ze snowadła przewija się wszystkie nitki równocześnie na walec (waliw) warsztatu. Ażeby uniknąć plątania przy tej robocie, przepuszcza się każdy piłganok (16 nitek) przez przegródki drugiego regulatora zw. „rytki" (rys. 2 e). Po założeniu osnowy do warsztatu, zwanego przez Łemków krosnami, zaczyna się żmudne przewlekanie każdej niteczki z osobna przez cztery szachty warsztatu i wiązania ich końców na wełcu, na którym w przyszłości nawija się gotowe płótno.

Równocześnie z temi pracami przygotowuje się wątek, t. zn. małe szpulki nici, które następnie zakłada się do czółenka tkackiego (czouno). Nie będziemy tu opisywali szczegółowo całego procesu tkania, tu powiem tylko, że jest to przyrząd skomplikowany i duży, przez większą część roku rozłożony na części, spoczywa schowany w zakamarkach gospodarskich, a dopiero w styczniu lub marcu montuje go gazda i wówczas zajmują krosna jedną czwartą izby. Tkanie jest żmudną pracą i wymaga znacznej wprawy, zajmują się niem przeważnie kobiety, rzadziej mężczyźni (chyba zawodowi tkacze).

* * *

Płótno świeżo tkane, jest szare, ażeby go wybielić, rozkładają go z wiosną do słońca i polewają wodą. W niektórych wioskach (Bielanka, Leszczyny, Kunkowa), gdzie nad potokami pasą się gęsi, płótno rozciąga się na specjalnych płotkach (rys. 2 a), by go gęsi nie plamiły.

Dopiero po całym roku od chwili posiania lnu, płótno gotowe jest na sprzedaż, ale tu oczekuje gazdynię przykre rozczarowanie, gdyż pokątny handlarz trudniący się pośrednictwem, wyzyskuje ją przy kupnie niemiłosiernie.

Obecnie, gdy w całej Polsce pracuje się nad podniesieniem lniarstwa, dobrze byłoby popracować w tym kierunku i na Łemkowszczyźnie, gdzie warunki dla rozwoju lniarstwa są bardzo pomyślne. Trzebaby jednak tak zorganizować sprzedaż samodziałowych płócien, by nie wydawać Łemków na pastwę małomiasteczkowych wyzyskiwaczy.

R. REINFUSS (Gorlice).

Ludwika Ariosta „Orland Szalony"

(Wspaniałe arcydzieło i jego twórca)

Przed kilkunastu dniami, 8 września minęło 460 lat od dnia urodzin najświetniejszego poety renesansu, największego po Dantem pisarza włoskiego, najwybitniejszego obok Mickiewicza epika czasów nowożytnych — Ludwika Ariosta. Rocznica ta pozwoli nam nieco uwagi poświęcić zarówno nieśmiertelnemu poematowi, jak i jego twórcy.

Lodovico Ariosto, syn Mikołaja i Darji, urodził się w Reggio nad Padem. Ojciec przeznaczył go początkowo do zawodu prawniczego, w przeciwieństwie jednak do niezliczonych innych ojców zyskał sobie naprawdę nieśmiertelność przez to, że widząc wstręt syna do wiedzy prawniczej, a zapał i zamiłowanie do poezji, — nie gwałcił natury chłopca, nie groził mu wydziedziczeniem i przekleństwem, ale pozwolił porzucić studja prawnicze i oddać się ukochanej pracy literackiej. W biografji Ariosta uderza jego ogromna kultura literacka, jego oczytanie, przedewszystkiem wspaniała znajomość sztuki pisarskiej, literatury i języków klasycznych — znajomość przedmiotu tak imponująca, że w podziw wprawiała, a nieraz i w zakłopotanie fachowców w tej dziedzinie — uczonych, doktorów, profesorów.

* * *

Pod wpływem atmosfery renesansu, pod przemożnem działaniem ukochanej literatury klasycznej, tworzy Ariosto swe pierwsze dzieła literackie, — komedje i satyry. Jest też on typowym przedstawicielem poezji renesansowej w sensie społecznym i psychologicznym: cechuje go silne związanie się, a nawet przywiązanie do jednego z licznych panujących rodów włoskich. Korzystając z politycznej i materjalnej opieki mecenasa, odwdzięcza się mu poeta, nietylko tem, że stale występuje w charakterze nadwornego poety swego protektora, ale tem przedewszystkiem, że czyny, cnoty i genealogję mecenasa unieśmiertelnia w swem dziele.

Mecenasem tym w stosunku do Ariosta był kardynał Hipolit d'Este, przedstawiciel jednego z najgłośniejszych w epoce renesansu i w zakresie popierania sztuki najbardziej zasłużonych włoskich rodów panujących. Jak się jednak często w owych czasach zdarzało, stosunek między silnym i hojnym protektorem, a unieśmiertelniającym go w sztuce protegowanym nie był pozbawiony zgrzytów, a nawet momentów dramatycznych. W psychice Ariosta było wiele cech takich, które raczej jego, niż Hipolita d'Este kwalifikowały do godności księcia Kościoła; kardynał bowiem miał znacznie więcej w sobie usposobienia rycerskiego, niż kapłańskiego.

Również i twórczość Ariosta była źródłem nieporozumień między nim, a możnym mecenasem; kardynał Hipolit d'Este nie chciał czy nie umiał należycie ocenić ani zdolności swego protegowanego, ani jego dzieła. Drogi ich rozeszły się ostatecznie, gdy protektor opuścił Włochy, udając się do Węgier; — rzecz znamienna, że kardynał był pewien, że Ariosto podąży za nim w charakterze nadwornego poety, — stało się jednak inaczej, rozeszli się, pamięć jednak ich wzajemnego stosunku utrwaliła się na wieki w początkowych pieśniach „Orlanda Szalonego", sławiących Hipolita d'Este odwiecznym zwyczajem: sławiąc starożytność i chwałę jego rodu.

Szukał Ariosto opieki i materjalnego wsparcia i u wielkiego papieża — nie cesarza, Leona X. Medici, nie zyskał jednak prawie nic naskutek wrogiego stosunku, jaki i Leona X. i jego poprzednika, również wielkiego protektora artystów — Juljusza II. cechował względem rodu d'Este.

To szukanie opieki i pieniężnego wsparcia ze strony możnych, to uniaśmiertelnianie protektora i sławienie jego przodków w dziele sztuki nie jest jeszcze cechą najcharakterystyczniejszą dla Ariosta, jako dla poety typowo renesansowego. Wszak szukali opieki cesarzy rzymskich i sławili wielkość i starożytność ich rodu poeci łacińscy, nawet najwięksi; wszak i w średniowieczu Bertrand de Born, Bernard z Ventadoru, Raimbaut de Vacqueiras czy inny trubadur — żyli pod opieką, a nieraz i z łaski możnych protektorów w koronach lub mitrach, — a i za Ludwika XIV. mecenasostwo panujących było głównym elementem społecznym w kształtowaniu się literatury. Co jednak różni Ariosta od poetów starożytnych i średniowiecznych, a nawet późniejszych — z epoki francuskiego klasycyzmu, co go czyni typowym przedstawicielem ery bujnie kwitnącego humanizmu (jako pojęcia kulturalno-psychologicznego), a nawet wynosi go ponad wszystkich innych poetów renesansu, — to umiłowanie nadewszystko wolności indywidualnej, niezależności i nieskrępowanej swobody ruchów — to wynoszenie wolności człowieka na piedestał najwyższy.

* * *

I z nazwiskiem Ariosta łączy się imię kobiety. Wprawdzie Aleksandra Benucci nie stała się w dziejach naszej kultury tem, czem Beatrycze Portinari dzięki Dantemu, ani nawet tem, czem Laura dzięki Petrarce, Lukrecja i Leonora dzięki Tassowi, czy choćby Beatrycze del Carret dzięki trubadurowi Raimbautowi de Vacqueiras, — ale zawsze imię jej wyróżnia się i odcina od miljonów zaginionych w niepamięci imion kobiecych, — dzięki temu jedynie, że kochał ją wielki poeta, Ludwik Ariosto, twórca „Orlanda Szalonego".

„Orland Szalony" (Orlando Furioso) jest nietylko nieśmiertelnym dzięki swej wartości artystycznej poematem epickim; jest klasycznym okazem syntezy świata antycznego i średniowiecza, która były duch i kultura renesansu, tło historyczne i brak kompletny zmysłu historycznego — wszak to w „Orlandzie" typowe średniowiecze! Ale ujęcie tematu, sposób, a szczególnie śmiałość poruszania pewnych problemów, elementy mitologiczne, lekkość wiersza i słowa, idące w parze z niesłychanym kunsztem poetyckim, iście klasycznym — świadczą, że poemat taki napisać mógł tylko twórca, wprawdzie mocno jeszcze tkwiący w tradycjach średniowiecza, — ale przedewszystkiem doskonale obznajomiony z kulturą świata antycznego i duchem świata tego przepojony.

Osobliwością Ariosta jest wniesienie do epopei renesansowej lekkości, nieraz frywolności — ożywienia i — jakbyśmy powiedzieli — rozweselenie i pewne obniżenie nastroju powagi i namaszczenia, jakie cechują epos starożytny, homerowy czy wergiljański. W zakresie czysto zewnętrznym osobliwością „Orlanda Szalonego" jest jego forma wierszowa: oktawa. Osobliwości te olśniewać musiały poetów epoki romantyzmu, szczególnie silnie oddziałały na twórców rosyjskich, głównie Puszkina, zwalczając mocno, zdawałoby się, zakorzeniony wpływ Byrona. W literaturze polskiej najklasyczniejszym przykładem wielkiego poematu arjostycznego jest „Beniowski" Słowackiego.

* * *

Największą jednak osobliwością „Orlanda Szalonego" jest to, że jest jedyny w dziejach literatury wypadek, gdzie brak oryginalności jest źródłem triumfu i spotęgowanej zasługi dziejowej poety.

W historji literatury nieraz się zdarzało, że poeci czy powieściopisarze chętnie podejmowali wątek, zgubiony, zapomniany lub porzucony przez głośnego i znakomitego twórcę. Tak więc mamy starożytne poematy cykliczne, stanowiące ciąg dalszy Iliady, „Eneida" jest również kontynuacją treści eposu homerowego. Podobnych dalszych ciągów jest moc i to w najróżniejszych dziedzinach literatury — ostatnio pewien rosyjski nowelista napisał w formie beletrystycznej ciąg dalszy „Burzy" Szekspira!... Zazwyczaj jednak taki ciąg dalszy jest pod względem artystycznym z reguły nieskończenie słabszy od części początkowej; — w literaturze światowej istnieje tylko jeden wielki wyjątek z tej reguły. Wyjątkiem tym jest "Orland Szalony" Ariosta.

Dzieje nieszczęśliwej miłości Orlanda (Rolanda), najdzielniejszego i najukochańszego z pośród paladynów Karola Wielkiego — w formie epickiej odtworzył Boyardo (Drugie wydanie jego poematu „Orlando Inamorato" — to, z którem zapoznał się Ariosto, wyszło w r. 1495) — nie skończył jednak swego dzieła, wątek pozostał urwany — i właśnie dalsze rozwijanie tego wątku podjął Ariosto. W ten sposób „Orland Szalony" jest idealnym ciągiem dalszym „Orlanda Zakochanego" — fabuła ta sama, tylko posuwana naprzód, postacie te same, charaktery zupełnie niezmienione, — a przecież przepaść ogromna dzieli te dwie części jednego jakby utworu: artystycznie zaledwie przeciętny, z góry skazany na zapomnienie poemat Bojarda żyje, — choć nieczytany, — w naszej pamięci i w historji literatury dzięki temu jedynie, że jego ciąg dalszy jest jednem z najwspanialszych arcydzieł literatury światowej. Nigdzie indziej nie występuje w takiej pełni znaczenie i potęga indywidualnego talentu, kultury i kunsztu artystycznego. W wielkim konkursie historji na temat dziejów miłości Orlanda osoba laureata nie ulega najmniejszej wątpliwości. Stąd wniosek: gdy naprawdę się, szuka talentów, trzeba rozpisywać konkursy na jeden temat!...

* * *

„Orlando Szalony" i dziś może być dla czytelnika — nawet nie posiadającego odpowiedniego przygotowania — źródłem żywych wrażeń, nietylko artystycznych, ale i beletrystycznych. Fabuła, — mimo rozwlekłości i dygresyj, — jest naprawdę emocjonująca, nawet niezliczone ustępy batalistyczne nie nużą bynajmniej, — szczególnie zaś uderzają i w podziw wprawiają epicki rozmach i plastyka niezwykła w tworzeniu postaci. Ilość ich niezliczona, a każda inna!... Orlando i Rynald, Rogier i Astolf, Bradamante i Angelika, Ferant i Medon — każdy z nich to zupełnie odmienny, oryginalny, a żywy świat psychiczny.

Dezorjentuje trochę czytelnika, a nawet irytuje w „Orlandzie" kompletna niezdolność autora do oddawania, uwypuklania kontrastów z zakresu psychologji zbiorowej: narodowej, rasowej, kulturalno - religijnej. Czytelnik wciąż zapomina, czy dana postać należy do świata chrześcijańskiego czy saraceńskiego: i jedni i drudzy niczem — prócz gołosłownych zapewnień poety — się nie różnią.

Momenty rycersko - epickie są gęsto przeplatane momentami fantastycznemi, baśniowemi, czy mitycznemi: typowo baśniowy jest motyw pobytu Rogiera w zaczarowanym zamku lub wyprawa Astolfa na hipogryfie po mózg Orlanda (po „rozum"). Z mitologji antycznej natomiast bez wątpienia jest przejęty epizod uwolnienia Angeliki z mocy potwora przez Rogiera, — epizod ten bowiem nieodparcie przypomina uwolnienie Andromedy przez Perseusza.

Pierwsze wydanie „Orlanda Szalonego" ukazało się w r. 1516, drugie — 1526, trzecie — 1532 czyli na rok przed śmiercią Ariosta.

* * *

Istnieją trzy przekłady polskie „Orlanda Szalonego": jeden z nich, całkowity pióra ks. Stefana Dembińskiego nie posiada prawie żadnej wartości artystycznej, jest to pozycja czysto bibliograficzna.

Stosunkowo świeży, bardzo nowoczesny, choć i bardzo ułamkowy jest przekład Felicjana (najprawdopodobniej Felicjana Felińskiego). A przecież mimo tej nowoczesności, dzisiejszemu czytelnikowi polskiemu niewątpliwie znacznie przyjemniej będzie się czytało „Orlanda Szalonego" w najstarszym, najdawniejszym polskim przekładzie z epoki „Złotego Wieku" naszej literatury, którego to przekładu rękopis ogłoszono w całości dopiero w r. 1908.

Wszystko przemawia za tem, że autorem tego przekładu jest Piotr Kochanowski, bratanek wielkiego Jana, tłumacz "Jerozolimy Wyzwolonej" Tassa. Wprawdzie gdzie niegdzie kwestjonowano autorstwo Kochanowskiego, wykazując wielkie różnice między charakterem i stylem przekładu „Orlanda" a „Jerozolimy Wyzwolonej". — największe jednak powagi naukowe za dogmat niemal już uważają, że tłumacz poematu Tassa i poematu Ariosta jest jedną i tą samą osobą.

t. p.

Sztuczny deszcz

Jak wiadomo, rząd sowiecki wprowadził w Turkestanie hodowlę bawełny, co jednak natrafia na znaczne trudności, ze względu na tamtejszy suchy klimat i brak opadów deszczowych.

Toteż uczeni fizycy przeprowadzają liczne eksperymenty zmierzające do wytwarzania sztucznego deszczu. Ostatnio w okolicy Askabad wystawiono wieżę wysokości 65 metrów, z której zapomocą maszyn wytwarzane będą potężne wyładowania elektryczne.

Wedle zdania prof. Fedosiewa, autora tej konstrukcji, pod wpływem tych wyładowań powinny następować opady deszczowe w promieniu 25 kilometrów.

O ile próby wypadną pomyślnie, przewidziane jest wybudowanie całego szeregu podobnych wież na terenach zajętych pod uprawę bawełny.

„Lekcja" na dworze Liszta w Weimarze

(Na podstawie listów i wspomnień Marji Adelmann-Majewskiej)

„O Weimarze — woła Goethe — jak szczęsnym jest twój los! — Jak Betlehem w Judei, małym jesteś i wielkim wraz".

Słowa te lśnią na frontonie pałacu wielkoksiążęcego w Weimarze, głosząc chwałę małej, turyngskiej mieściny, nad którą dwa razy rozpostarły się skrzydła genjuszu. Raz — nad domem Goethego, raz drugi — nad willą „Różaną" Liszta. Dwa razy Weimar stał się celem pielgrzymek, w zaraniu XIX wieku — poetów, pod koniec zaś jego — artystów.

W życiu ludzkości są czasem chwile ukojenia. Milknie wtedy nienawiść między narodami, rodzi się helleńskie umiłowanie piękna. Może kiedyś, gdy przycichnie szczęk broni, chór syren fabrycznych, orkiestra trąbek automobilowych, gramo- i saksofonów, umrze kryzys i bezrobocie, straci powodzenie efektowna blaga, a życie stanie się więcej rytmiczne — wrócą chwile takiego upojenia melodją, jak za czasów Liszta.

Nad willą „Różaną" jaśń słońca popołudniowego. Pył jego złoty lśni nad ogrodem róż, między któremi rozkwitają różnobarwne suknie kobiet. Jak płatki róż układają się fałdy baskin, poszerzających biodra; jak kielich kwiat, tak obciskają biust staniki, rozkwiecone u szyi koronką kołnierzyków. Cienka, jak u osy, talja, głowa obciążona splotami, grzywka zasłania czoło — jednem słowem — moda r. 1880. Uczennice Liszta urągają modzie o tyle, że mają prawie wszystkie rozpuszczone włosy. Ale suknie są modne i eleganckie, bo „lekcja" to właściwie koncert, w którym biorą udział i któremi się przysłuchują wielcy artyści.

Bywają też sławni krytycy, organizatorzy koncertów, nawiązujący tu stosunki z wschodzącemi lub uznanemi już gwiazdami, wreszcie wysoka arystokracja. Na lekcjach gra Sauer, Godowski, Teresa Carreno, Rachmaninow, Moszkowski, hr. Almassy, Seiss, Reisenauer, Antoni Rubinstein, Ilonka Rawagh, Bülow, Wiera Timanow, Ethel Bartels, ks. Reuss, Friedheim, Stavenhagen, grają skrzypkowie, jak Pablo Sarasate i Emil Sauret, wiolonczelista — Grützmacher, przychodzą słynni krytycy, jak Stradal i Roth. „Słowik Szwecji" Krystyna Nilsson, cudna blondynka w żałobnej czerni, owdowiała margr. Miranda, śpiewa na prośbę Liszta na matinée u niego. W Budapeszcie, na „lekcje" mogą przychodzić wszyscy uczniowie Akademji Lisztowskiej, ale tu, w Weimarze, przychodzą tylko zaproszeni przez mistrza lub poleceni przez któregoś z uczniów, czy przyjaciół jego.

Między klombami róż latają nowiny i plotki. Podobno przyjechał Rubinstein? Nie, zato jest ten nieznośny Bülow. Nic dziwnego, że go Cosima dla Wagnera rzuciła. Choć i ten mity nie jest. Genjalny, to prawda, ale Marjetka Majewska słyszała, że na próbie Porciolla primadonnę za ucho wytargał. Lecz ten zgarbiony, złośliwie uśmiechnięty Bülow jest jeszcze gorszy. Czyż nie zrobił raz strasznej awantury biednej Marjetce, gdy była uczenicą jego w Hannowerze? Przechodząc ulicą, usłyszał fałszywy ton, rozbił więc szybę parasolem i wrzasnął na całe gardło: „Weźże pani fis, nie f do licha!" Mistrz powie nieraz też coś niemiłego, ale jakże brzmi to uprzejmie. Marjetka uwielbia Mistrza. Oburza się na niewdzięcznego d'Alberta, który z łaski Liszta prawie żyje, a ośmiela się mówić, że jeszcze się znajdzie taki, co Mistrza przewyższy. — Ale najzłośliwsza ze wszystkich, to Wiera Timanow.

Coprawda — „lisztjanie" wielbią mistrza i muzykę, ale nie kochają się wzajemnie. Zapewne, dobrym chłopcem jest Henryk Reuss, poczciwą sztywna Angielka E. Bartels, ale inni... Ciekawe, czy przyjdzie dziś wielki książe — myśli Marjetka. — Przychodzi zwykle incognito. Czasem i wielka księżna, uczenica Mistrza. Tylko ks. Wittgenstein, z domu Iwanowska, nie przychodzi nigdy.

Czwarta bije. Barwny wieniec sukien, przepleciony ciemnemi męzczyzn, przewija się przez portal, by rozsypać się po schodach, wiodących na piętro. W przedpokoju rezyduje Spirydion, kamerdyner i faktotum Mistrza. Imponująca postać okazałego Czarnogórca działa egzotycznie w tem otoczeniu. Paulina Appel, gospodyni Mistrza, kryje się w głębi domu. Wielka, prostokątna sala otwiera swe podwoje przed gośćmi. Trzema oknami wpływa fala słońca, którego promienie szklą czarną polituręfortepianu — Boesendorfera, stojącego na estradzie pod temiż oknami, a oddzielonego od reszty sali filarami i rozchylonemi portjerami, i połyskują szmaragdem na jedwabiu granatowo-zielonej makaty, zahaftowanej złotem i srebrem wschodnich arabesek. — Motyw Wschodu, wijący się haftami portjer i makaty, zaznacza się silniejszym jeszcze akcentem w garniturze mebli, wypełniających róg sali, rzeźbionych w hebanie, a inkrustowanych perłową masą. To dar sułtana.

Od tych ciemnych tonów, od złotych i srebrnych haftów odbija płomienna czerwień różanych bukietów, napełniających salę upajającą wonią. „Róże pachną jak wczoraj" — przypomina sobie Marjetka. To było wczoraj. Wieczorem do pensjonatu, w którym mieszka ona, Wiera Timanow i Ethel Bartels, wpadł H. Ed. Reuss i kilku innych „lisztjan". Chodźcie Panie! Mistrz gra". Droga niedaleka „Furtka otwarta. Podkradają się pod ciemne okna. Nie! nie są ciemne, bo płynie z nich od gwiazd i księżyca jaśniejsza — melodja Warjacyj Schumanna. Nie słychać fortepianu. To na strunach światła miesięcznego gra Duch, — Sobie i Bogu.

I oto mała dziewczynka z dworku polskiego, wśród obcych zagubiona, do walki z zawistnym tym światem zmuszona, — czuje naraz radość taką, jaka jest dana świętym w ich wizjach świetlanych. Wchodzi w mistyczną spójnię z tą melodją niebiańską, lśniącą srebrem księżyca, wonną zapachem róż. Przez pryzmat łez — widzi jedność świata. Płaczą i tamci. Na klęczkach słuchają — mężczyźni i kobiety. A gdy dziś, po latach wielu, siwowłosa kobieta mówi o tej chwili — jedynej, to znów stają jej w oczach łzy — radości.

Przez salę przechodzi prąd elektryczny. Wszystkich oczy zwracają się ku drzwiom, prowadzącym do apartamentów Mistrza. W tych drzwiach staje — On. Jasne, silne spojrzenie, srebrnemi pasmami włosów okolona szlachetna twarz. Wpijają się oczy wszystkich w jego słynną, wytworną postać. Otaczają go kołem świeżo przybyli, przedstawiają się. On czaruje słowami, uśmiechem, spojrzeniem, nieziemskiej pełnem dobroci, a jednak czasem ironicznem, a zawsze mocą ducha potężnem. Otacza go jakby zaczarowany krąg, poza który nikt przejść nie może. Każdy wie, każdy czuje — to człowiek wielki. Człowiek z innego świata. Ten, przed którym chylą się koronowane głowy i dumne czoła największych artystów nawet.

Cercle się kończy. Zaczyna się „lekcja" — zawsze muzyka kameralna. Więc tria, kwartety... Potem występują soliści. Sześciu lub siedmiu na sezon. Reszta słucha. A są i tacy, którzy nigdy nie grają. Gdy się kto wstawi za tymi bezrobotnymi, Mistrz odpowiada, że „muzyka z filantropją nie ma nic wspólnego". Mimo tego nazywać się później będą uczniami Liszta. Takich „fałszywych" uczniów Liszta jest sporo. Ale ci wybrani z pomiędzy „prawdziwych" mają ciężką pracę.

Każdego rana mistrz segreguje wraz z sekretarzem, z dyrektorem konserwatorjum weimarskiego i wybranymi uczniami i uczenicami stosy nadsyłanych codziennie kompozycyj. Uznane przez siebie za dobre, poleca uczniom przygotować na „lekcję". Czasem we 24 godziny. A grać wolno tylko napamięć. Nieraz prima vista. Tylko jeden kompozytor jest wyklęty. On sam. Może czuje, że czasy jeszcze nie dojrzały do zrozumienia jego największych kompozycyj. Nie pozwala ich grać.

Uczeń, wezwany przez Liszta do fortepianu, gra. Mistrz słucha. Czasem nie mówi nic. To już źle. Jeszcze gorzej, jeżeli Mistrz przerywa uczniowi grę i prosi inną osobę, aby odegrała ten sam utwór.

Ale czasem milczenie Mistrza jest najwyższą pochwałą. Takie szczęście spotkało Marję Majewską. Po odegraniu przez nią Ballady Chopina mistrz milczał, a potem cicho zapytał: Dziecko! Skąd Ty to wiesz? Panienka, oszołomiona szczęściem, odpowiada niepewnym głosem: Nie wiem Mistrz w zamyśleniu mówi: „Chyba z nieba"...

Najczęściej jednak mistrz robi uwagi, zawsze grzeczne, ale niezawsze przyjemne. Nienawidzi sztuczek wirtuozowskich. Nazywa je „wyższą szkołą jazdy na skrzypcach". Tylko bez trylerów! Te można włożyć do skarbonki" Technika jest środkiem, nie celem. Kto tu występuje, musi ją posiąść do tego stopnia, żeby jej znać wcale nie było. Mistrz radzi hrabiance X., nie mogocej pokonać trudności technicznych, by wyszła raczej zamąż, innej zaś damie tłumaczy, że on „nie jest profesorem, że ponieważ ona jednak nie jest Ofelją, więc zamiast do klasztoru, niech idzie — do konserwatorjum".

Lecz technika sama, bez duszy, jest tylko „uwewnętrznieniem zewnętrzności" Liszt niecierpi sentymentalizmu w grze, przeciągania pauz, przetrzymywania tonów nad potrzebę. Nazywa to „skubaniem szarpi" O duszę mu chodzi. O duszę twórcy i dzieła jego, o duszę tego, który to dzieło odtwarza. Czasem Mistrz jedną ręką lub obiema przegrywa jakąś frazę. A wtedy cisza w sali staje się jeszcze cichsza. Jakby ta, z okien płynąca poświata słoneczna na dusze ludzkie naraz rozświetliła. Bo — jeżeli gra Bülow, „zmetronomizowany Chopin", jak go Liszt żartem nazywa, to słyszy się dzieło twórcy, oddane z fotograficzną, nieporównaną wiernością, pietyzmem, przejrzyście jak kryształ, ale też i z chłodem kryształu. Jeżeli Antoni Rubinstein gra, to ludzie szaleją. Ten mały, brzydki człowiek na strunach ich nerwów i zmysłów gra, porywa, hipnotyzuje, robi z nimi, co chce.

Ale gdy Liszt dotknie klawiszów, wtedy sie sala w świątynię przemienia, znika nienawiść, zazdrość i wyścig ambicyj, niema różnic społecznych, ni rasowych. Na jedną chwilę doznają umęczone dusze ludzkie łaski oczyszczenia, — na tę jedną chwilę, — gdy Mistrz gra.

JANINA TORCZYŃSKA (Kraków).

Zaklinacz szczurów z Hammeln

W lecie bieżącego roku obchodzono w brunszwickiem mieście Hammeln nad Wezerą 650-tą rocznicę legendarnego wypadku. Podanie ma różne formy.

„W r. 1378" — powiada pastor Samuel Erich w książce Exodus Hamelensis, drukowanej w poł. XVII. w. „zaszło zdarzenie niesłychane i po wiek wieków godne uwagi, a smutne. Dotknęło ono dzieci z Hammeln nad Wezerą; zdarzenie, które powinno być dobrą przestrogą dla rodziców, aby dobrze pilnowali dzieci. Po tem to mieście chodził z piszczałką awanturnik w jaskrawem ubraniu wszystkich kolorów (bez wątpienia zły duch w tej postaci). Zat nim biegły w wielkiej liczbie dzieci, chłopcy i dziewczynki, i robiły ogromną wrzawę. Gdy tedy awanturnik (niktórzy mówili, że łapał myszy i że głosem piszczałki przyciągnął mnóstwo dużych szczurów) wyszedł wraz z niemi z tą przed bramę, dzieci szły za nim, a on zaprowadził je do wnętrza góry i razem z niemi zniknął. Widziała to pewna niańka, która wraz z dzieckiem coś tam ciągnęło zdaleka, wróciła się i przyniosła do miasta wiadomość".

Wedle innych wersyj straszny wypadek zaszedł w r. 1284 (i stąd data obchodu). W starym kościele parafjalnym był na ścianie obraz, przedstawiający ową wędrówkę dzieci, a inny pastor, Litzner pisał w r. 1590:

„O drodzy rodzice chrześcijańscy, nie patrzcie na to wspaniałe malowidło takim wzrokiem, jakim krowa czy inne bezrozumne zwierzę gapi się na stare wrota, ale prawdziwie po chrześcijańsku rozstrzygajcie rzecz w swych sercach i nie pozwalajcie swym dzieciom schodzić na bezdroża, aby nie dostały się w moc djabła, jak to łatwo i prędko może się zdarzyć".

Ludność Hammeln święcie wierzyła w prawdziwość podania i miała zwyczaj datować listy wedle jego daty. Gdy w roku 1556 budowano nową bramę miejską, umieszczono na niej napis:

„Centum ter denos cum magus ab urbe puellos
Duxerat ante annos 272 condita porta fuit

Ciekawy dystych, w którym licznik nie liczy się metrycznie. Znaczy on, że bramę zbudowano w 272 lat po uprowadzeniu 130 dzieci przez czarownika. Cyfra ta powtarza się stale.

W r. 1602 lub 1603 budowano znów dom, który dziś nazywają Rattenfängerhaus. Można dziś jeszcze wyczytać na nim:

„Anno Christi 1284. Am tage Johannis Pauli ist gewesen der 26 Juni... C und XXX Kinder aus der Stadt verledet in der Stadt Hamelyn".

Na innym domu wyryto wierszowany opis wypadku. Ulica, przez którą czarownik miał prowadzić dzieci, nazywa się Bungelosestrasse. Przez całe wieki niewolno było nie niej grać na żadnym instrumencie. Gdy szedł przez nią orszak weselny, milczała muzyka. Sprzedawano liczne broszury i wiersze o uprowadzeniu dzieci. W zapiskach miejskich było ono również zanotowane, ale okazało się, że zrobiono to w pareset lat po dacie.

Z tem wszystkiem podanie musi mieć jakieś rzeczywiste podstawy. Może pomieszano bytność jakiegoś zaklinacza szczurów z katastrofą, która dotknęła dzieci z Hammeln. Tacy zaklinacze często pojawiali się w średnich wiekach.

Naturalnie każde źródło ma odmienne szczegóły. Ksiądz Atanazy Kircher pisze w r. 1650, że ów muzykant podjął się uwolnić miasto od plagi szczurów i rzeczywiście wyprowadził je grając na piszczałce, ale rada miejska nie dotrzymała mu słowa i nie wypłaciła umówionej sumy. Wobec tego zjawił się on drugi dzień „ubrany po myśliwsku, ze strasznym wyrazem twarzy i przy dźwięku piszczałki uprowadził wszystkie dzieci od lat czterech do dwunastu."

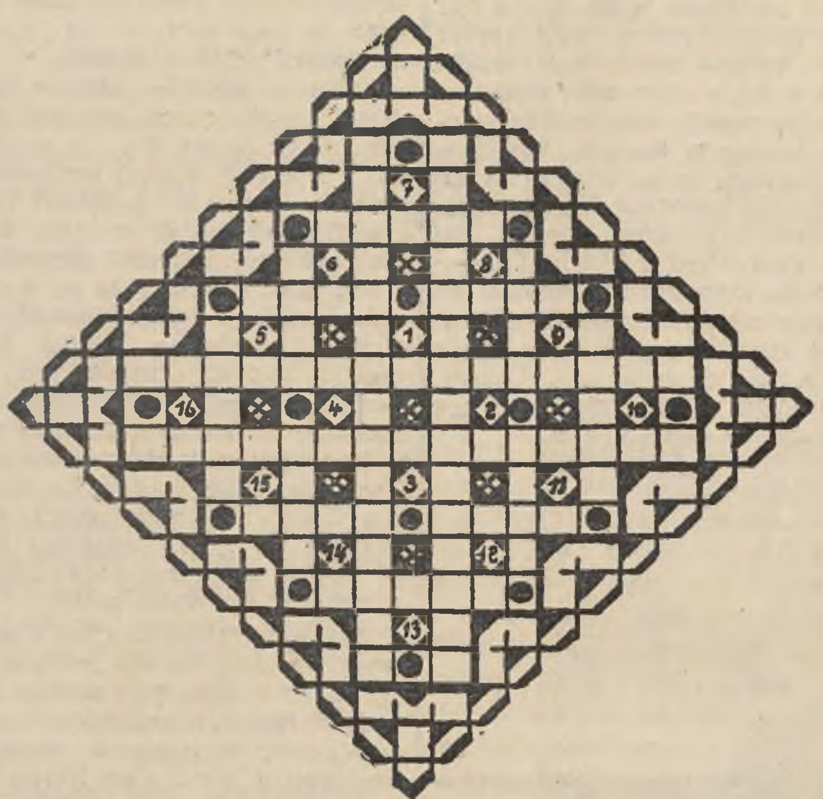
W angielskiej książce niejakiego Verstegana (z r. 1628) są jeszcze inne szczegóły. Wieść o zniknięciu dzieci we wnętrzu góry miała przynieść nie niańka, ale dziecko kulawe które nie mogło nadążyć za innemi, więc góra zamknęła się przed niem. Dzieci nie zginęły. Czarownik miał doprowadzić je do Siedmiogrodu, gdzie osiedlily się na stałe.

Tę książkę czytać musiał Robert Browning, który na jej podstawie stworzył najlepszy swój wiersz humorystyczny The Pied Piper of Hamelin. U niego nieznajomy jest nie złym duchem, ale zaklinaczem szczurów, miasto nie dotrzymuje mu umowy, do miasta wraca kulawe dziecko, a reszta dzieci osiedla się w jakimś cudownym kraju, gdzie „wszystko jest dziwne i nowe".

DZIAŁ ROZRYWKOWY

Wirolog ciągowy

(Ułożył „John Ly")



Zaczynając od liczb proszę wpisać dookoła tychże w kierunku zegarowym po 2 wyrazy ciągowe t. zn. o wspólnej literze końcowo-początkowej. Litery w kratkach oznaczonych kropkami, czytane również wirowo w kolejności liczb, dadzą główne rozwiązanie, które można podać bez wyrazów wirówki.

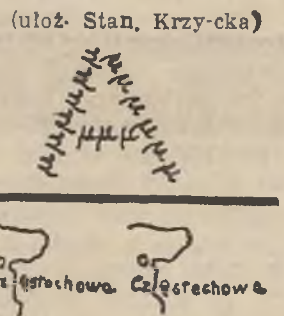
Znaczenie wyrazów: 1. Artysta. — Opust. 2. Rozkład, zgnilizna. — Zmierzch. 3. Rodzic. — Rodzaj przekazu pieniężnego. 4. Przewody kryte. — Tarcza Zeusa. 5. Przyrząd balistyczny. — Boisko. 6. Półwysep europejski. — Ciężar bez opakowania. 7. Współzawodnik. — Wódz komunistów. 8. Wejrzenie w głąb. — Zmarły. 9. Dopływ Horynia. — Prawo 10. Przyprawa kucharska. — Rodzaj wehikułu. 11. Katastrofa finansowa. — Część. 12. Napój. — Ptak. 13. Jeden z przywódców rewolucji francuskiej. — Rodzaj statku. 14. Malownicza wieś nad Prądnikiem. — Wzgórze nad Wisłą. 15. Narzędzie ślusarskie. — Nabędzie za pieniądze. 16. Zwierzę owadożerne.

Dla ułatwienia podajemy sylaby wyrazów: A, ak, bat, ble, ca, cet, ciec, ców, czek, da, de, e, gi, ho, ja, ka, ka, ka, ko, kon, krach, kret, kruk, ku, le, le, ma, ma, mrok, na, nat, net, niak, nik, nin, nin, nor, o, oj, oj, pi, pil, pro, ra, rat, razm; re, ry, słucz, tacz, to, tra, tor, tu, twa, wa, wal, wel, wgląd, za.

* * *

Rebusik

(ułoż. Stan. Krzy-cka)



* * *

Łamigłówka

(ułożyła Fr. Goldowa Lwów)

Dobromil, szyderca, wywłaszczenie, rycerstwo, Podole, kilimek, niżnik, cukiernia, Modzelewska, opale, kanikuła, porcelana.

Z każdego z powyższych wyrazów należy wyjąć po jednej zgłosce, które czytane kolejno dadzą rozwiązanie.

* * *

Figielek

(ułożył „Perkun")

Gdy z **pożywienia** odetniesz głowę
masz znów dla bydła inne gotowe.

* * *

Arytmograf

(Ułożyła „Arja")

8, 7, 9. = Rzeka w Niemczech.
1, 6, 5, 2. = Miasto we Włoszech.
10, 2, 4, 3. = Duża beczka (fasa)
1, 6, 7, 8, 9; 6; 10. = Rodzaj ciastka.
1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8; 9; 6; 10. = ?

Szarada-życzenie

MŁODEJ PARZE SZARADZIARSKIEJ*)**

(Ułożył „John Ly")

Gdy się dobiorą dobrze serca-zgłoski,
to się z nich złoży piękna **czwór-sześć-siódma**,
nierozwiązalna jako utwór boski,
ale w swej treści ciekawa i cudna...
Gdy **dziewięć-dziesięć** Ona Jego — On Ją,
że serce w sercu **osiem-jedenaście**
zgrane przedziwną i słodką harmonją:
to się im złączyć jak najprędzej każcie.
Skarbów młodości Swej nie skąp. Młodzieńcze.
choć rzeczywistość i zła i **pięć-szósta**.
lecz sobie powiedz: „Za jutro nie ręczę,
więc **ośm-dwa** dzisiaj w ust słodyczy usta"...
Dzisiaj już takie dziewice nie rosną,
jak **Siódma-pierwsza-siódma** — ona sroga
królewna z Argos, co to w noc miłosną
zabiła męża swego, ni to wroga...
Polska dziewczyna, kiedy **dziewięć-dziesięć**,
to **dziewięć-dziesięć** całem sercem, duszą.
I tyle w życie radości Ci wniesie,
że się w niej mroki za-wodów rozprószą...
Uczcie się z życia ostępów i **trzecich**
łowić grubego zwierza: szczęścia moment!
Ilekroć Wam się jego błysk roznieci,
chłońcie go sercem całem i łakomem.!
Z **dziewięć-czwartego** swych skarbów i darów
niech Wam Fortuna obficie użyczy!
Pijąc z miłości i szczęścia puharów,
nie znajdźcie nigdy na ich dnie goryczy!
Może—ż być **dwa-trzy** i milej i słodziej,
Gdy Zosia Jemu **sześć-siódma**, On Zosi?
To więc życzenie przyjmijcie dziś. Młodzi
niech się Wam iści to, co **całość** głosi..

* * *

Igraszki muzyczne

(Ułożyła „Arja")

1) Za **nutą** gdy się **powróz** wlecze,
w górach rozciąga się przy rzece...
2) Kiedy przy **nucie napój** płynie,
sensacyj żądny jest jedynie...
3) Gdy zaś po **nucie** dźwięczy **nutka**,
przemija prędko, bo króciutka...
4) Przy **nucie** gdy stanie **Germanin**,
to — jeśli umiesz — zagrasz na nim...
5) A gdy się **nuta o pal** oprze,
przy piwku nam smakuje dobrze...
6) Jeśli ci **nuta da co** nawet,
będzie to marne i niemrawe.
7) Przy **nucie** gdy **ptak z szatą szarą**,
to się nam przyda w czas pożaru...

* * *

Rozwiązania prosimy nadsyłać najdalej **do środy, 17 października br.**

Za trafne rozwiązanie do rozlosowania interesująca książka z ostatnich nowości beletrystycznych.

* * *

Rozwiązanie zadań z nr. 262

Eliminatka: Oś, plaża, Wiar, cel, czas, Ems, maść. Klucz: Samolot. — Śp. Żwirce cześć!

Zagadka: Howerla.

Krzyżówka: poziomo: Rozmowa, Kartuzy, brokaty, łaski, pakuły, Potutory, wylew, makaty, bójka, balet; pionowo: rozbrojenie, wybój, Moka, polewka, Watykan, tumaki, karmin, patoka, Tuła, Kurytyba, zyski, łyko, kotlet.

Łamigłówka: Fortel, kort, bunda, Krak, Wolga, niema, siew, mętny, moc zyski = Fortuna kołem się toczy.

Szarada: Kapitan Bajan.

Igraszki słowne: Okowa, rekord, fama, epika.

Zagadka lawinowa: A, Ar, Ran, Iran, Irena, Parmè, Piernat, Trapione, Fortepian.

* * *

Rozwiązania nadesłali

ze Lwowa pp. M. Angielczykowska, „Arja", M. Szydłowska, Stan. Krzywobłocka, Wład. G., M. Zygmuntowicz, Ir-wu, A. Kieszkowska, M. H., „Biały Ceś", Ir-ka, J. Kwjczoll, Eug. Dworski, Roman H., Łesiuk, J. Koberwein, Wanda Smolicka, inż. J. W. Br. Ostrowski, Marja Dworska, M. Ruxerówna, Zetel.

z poza Lwowa pp. Tad. Dworski (Sanok), M. Lityńska (Przemyśl), M. Kański (Kraków), M. Potocka (Sanok), Cz. Murczyński (Kraków), M. Alexandrowicz (Delatyn), „Olga" (Jarosław), Adam K. (Przemyśl), „Trzynastka" (Warszawa).

Nagrodę uzyskał **M. Alexandrowicz w Delatynie.** Książkę wysyłamy.

Z za kulis filmu

— Słynna „Podróż do kresu nocy" Céline'a ma być w najbliższym czasie przerobiona na film dźwiękowy.

— Niezwykle oryginalnie zapowiada się nakręcany obecnie w Hollywood film „Nocne życie bogów". We filmie tym bohater, artysta-rzeźbiarz, budzi do życia pięćdziesiąt wyrzeźbionych przez siebie posągów, których role grać będą najlepsi artyści i artystki. Dwudziestu rzeźbiarzy pracowało przez szereg miesięcy nad sporządzeniem 50 posągów, przedstawiających postacie odnośnych osób.

— Jackie Coogan wraca do filmu. Ujrzymy go we filmie „Kodeks Zachodu".

— „Csibi i Henryk VIII", taki niezwykły tytuł będzie mieć film węgierski, parodjujący głośny film Cecil B. de Mille'a.

— Greta Garbo, jak sobie opowiadają w Hollywood, posiada nieproporcjonalnie wielkie nogi. Podobno nosi buciki nr. 42... Ano, trudno — przecież i na słońcu są plamy, — pocieszają się jej admiratorzy.

Ze świata książki

R. Kipling: „Druga księga dżungli", przekład Józefa Birkenmajera (Wydawnictwo Polskie R. Wegnera, Poznań).

Dobry przekład, zwłaszcza z angielskiego, jest w naszej literaturze ciągle jeszcze — niestety — rzeczą tak rzadką, że godzi się go sygnalizować. Jakże często bowiem sprawdza się w całej pełni klasyczne „traduttore - traditore", — jakże często zatraca się w polskim przekładzie cały czas słowa i bogactwo stylu. Jak niemiłosiernie obchodzi się nieraz przygodny tłumacz, nie znający ducha języka, z dziełem obcego twórcy!

Momenty te nabierają szczególniejszego znaczenia, skoro idzie o arcydzieła, wchodzące w skarbiec literatury światowej, — jak w danym właśnie wypadku.

Księgi dżungli, tę klasyczną, wiecznie żywą i niezatracającą nic ze swej wartości lekturę, przekładano już parokrotnie na język polski. Przekładano ze szczególną starannością, poprawnie, nawet zupełnie dobrze. Wszystko to są przekłady dawniejsze, zupełnie już wyczerpane, — toteż nowe wydanie, które pojawiło się w „Bibliotece laureatów Nobla" nakładem R. Wegnera, przychodzi bardzo na czasie.

Przekład J. Birkenmajera doskonały. Czuje się, że tłumacz potraktował swe zadanie „con amore", że włożył w nie dużo rzetelnej pracy. Styl barwny, giętki, powiedziałbym zupełnie nowoczesny. Przy całym pietyzmie dla oryginału, tłumacz nie waha się przed pewnemi dodatkami i uzupełnieniami, jakie okazały się konieczne ze względu na odrębności i właściwości stylistyki polskiej. Drobne te naogół dodatki nietylko w niczem nie szkodzą, lecz wręcz przeciwnie, przyczyniają się do większej wyrazistości i jasności obrazu.

Nie jest to niewolniczy, dosłowny przekład, — lecz raczej „spolszczenie" oryginału, — nie jest to mechaniczna praca odtwórcza, lecz raczej współpraca. A więc — maximum tego, czego od tłumacza wymagać można.

Inna rzecz, że w pracy tej tłumacz pozwala sobie niekiedy na zbyt może śmiałe „licencje", próbując np. przeszczepić jakąś gwarę na grunt dżungli. Trudno usprawiedliwić takie niefortunne zwroty, jak np., że Mowgli „klarował" rabusiom wszystko, co wiedział o nich, — czy okrzyk jego: „Hajl toć to jasne jak wszystkie pierony" (w dawniejszych przekładach zdanie to zgodnie z oryginałem, brzmiało: „jasne jak letnia błyskawica").

A już zupełnie zgodzić się nie można ze stosowaniem żargonowego wyrażenia „wolnego! wolnego!" zamiast zwyczajnego „pomału", czy „powoli".

Matka Mowgliego przemawia w przekładzie Birkenmajera gwarą chłopską. Myśl zasadniczo dobra i trafna. Ale chłop polski, rdzennie polski, nie będzie mówił chyba o „uśparowaniu" pieniędzy, germanizm ten bowiem przyjął się tylko w niektórych dzielnicach i oddawna już stopniowo zanika.

Taksamo dziwacznie brzmi okrzyk: „Rety — kasza!" w ustach myśliwca angielskiego.

Są to drobne usterki, — od tłumacza jednak tej miary mamy prawo domagać się, by w takich drobiazgach bacznie czuwał nad swem piórem i dbał o bezwzględną czystość języka.

Podkreślić jeszcze trzeba ogromną staranność w przełożeniu na język polski kilkunastu drobnych poematów, co stanowiło trudność niemałą, a co było słabą stroną wszystkich dotychczas przekładów.

Szata zewnętrzna bez zarzutu, — dobry, czytelny druk, bardzo staranna korekta, zasługują na podkreślenie.

„Biblioteczka Francuska" tomik I i II, (wyd. „Książnica-Atlas" Lwów—Warszawa).

Ruchliwa lwowska spółka wydawnicza „Książnica-Atlas" podjęła wydawnictwo arcydzieł literatury francuskiej, obliczone przedewszystkiem na dojrzałą młodzież szkolną.

Jako pierwsze dwa tomiki ukazały się nowelki A. Daudeta: „La chevre de m. Seguin", „Le sous-prefet aux champs", „L'enfant espion" i „La derniere classe", wyjęte z najpoczytniejszych arcydzieł wielkiego pisarza.

Tanie te, estetycznie wydane książeczki, zaopatrzone są w krótkie notatki biograficzne, słowniczek i objaśnienia. Oddać one mogą duże usługi uczącej się młodzieży, a przyjęte zostaną życzliwie przez tych wszystkich, którzy interesują się literaturą francuską.

Myśl stworzenia tego rodzaju biblioteczki powitać należy jako bardzo szczęśliwą i na czasie.

Nowa świątynia we Lwowie

Na krańcach już niemal Lwowa. tam gdzie już rozpoczynają się parterowe domki i wille, a w dali falują lekko sfaldowane pola, wznosi się wspaniały gmach monumentalny: wotywny kościół pod wezwaniem Matki Boskiej Ostrobramskiej. Położonej wysoko na tle parku Kilińskiego, góruje ponad szczytami charakterystycznemi wież kościołów i ratusza, a strzelista jego wieża widna jest już z bardzo znacznej odległości od miasta.

Budowę kościoła wotywnego zainicjował ksiądz Arcybiskup Bolesław Twardowski, metropolita lwowski, by złożyć podziękę Wszechmogącemu Panu nad Pany, a w szczególności oddać hołd Przenajświętszej Panience, od wiek wieków Orędowniczce i Opiekunce Miasta, za cudowne ocalenie Lwowa z zalewu ruskiego, a później bolszewickiego. Zwłaszcza ten ostatni, był groźny, a w następstwach swoich mógł zniszczyć wiarę i polskość miasta.

Szlachetne zamiary Ks. Arcybiskupa poparł ówczesny prezydent Lwowa, śp. p. Józef Neuman i Rada Miejska, ofiarowując bezpłatnie pod budowę piękny grunt miejski położony przy ulicy Łyczakowskiej tuż przed rogatką, oraz przeznaczając na cele budowy subwencję 250 tysięcy złotych, wypłacalną w 5-ciu ratach rocznych w ciągu budowy. Opierając się na takich przesłankach, Ks. Arcybiskup ujął sprawę budowy kościoła wotywnego w swe energiczne ręce, powołał do życia Komitet i dnia 5 sierpnia roku 1931 rozpoczęły się wykopy fundamentów, zaś 7 października tegoż roku, w Dzień Matki Boskiej Różańcowej, poświęcił Ks. Arcybiskup Twardowski wśród solennej uroczystości kamień węgielny.

Od tej chwili zawrzało na placu. Ruch budowlany rozwijał się coraz intensywniej. Zakładano fundamenty głębsze pod wieżę i boki nawy głównej, z betonu, na których składając cegłę do cegły wznoszono mury kościoła i wieży. Mimo przeróżnych trudności i przykrości budowla rosła w oczach, wykonywana we własnym zarządzie Ks. Arcybiskupa. A były zawody. Z uchwalonej subwencji 250 tys. złotych Miasto zasiliło budowę zaledwie jedną ratą, zaś społeczeństwo polskie, wskutek panującego kryzysu, mimo najszczerszej chęci poparcia czynnego budowy, nie mogło wiele ofiarować. A tymczasem koszty budowy rosły z dnia na dzień i wyczerpywały wszelkie źródła finansowe jakiemi dysponował Ks. Arcybiskup.

Wytrwałą pracą doprowadzono obecnie budowę z grubsza do takiego stanu, że Ks. Arcybiskup będzie mógł konsekrować ukochane przez Niego dzieło Swoje w dniu 7 października 1934 roku, to jest w trzy lata od poświęcenia kamienia węgielnego.

Całość budowli wywiera potężne wrażenie. Wykonana wedle projektu śp. profesora Tadeusza Obmińskiego przynosi autorowi zaszczyt i chlubę zwłaszcza, że formę budowli dostosowano do warunków otoczenia i uwzględniono wzniesione ponad miasto jej położenie. Główny korpus kościoła otrzymał formę bazyliki starochrześcijańskiej i wyrasta z tarasu, który z powodu znacznego pochylenia terenu musiał być założony przed głównem wejściem do kościoła i stanowi jego wysoki cokół. Na taras wiodą z placu niżej położonego podwójne schody dwuramienne, szerokie, wykonane w kamieniu i okolone piękną kamienną balustradą. Front tarasu pomiędzy schodami dobrze rozczłonkowany, zakończony również balustradą, zbudowano z bloków kamiennych gładko ociosanych, podobnie jak i właściwy cokół kościoła. Kamień użyty jest formacji dewońskiej z okolic Tarnopola i Borek w.



Fronton kościoła



Ogólny widok kościoła

W głównym portalu kościoła w jego części środkowej na drugiej kondygnacji wbudowana jest kaplica otwarta, obramiona kolumnami kamiennemi, na których spoczywa łuk opinający kaplicę. W niej promienieje na całe miasto piękny mozaikowy obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej. Przed obrazem odprawiać się będą nabożeństwa dla zgromadzonych przed kościołem.

Wnętrze kościoła zajmuje główna nawa, wysoka ponad dwadzieścia metrów, długa 45 metrów, a szeroka 13 mtr. Po jej obu stronach wyskakują nieznacznie filary ku środkowi kościoła i wytwarzają wnęki, w głębi których staną ołtarze boczne i konfensjonały, a nad niemi umieszczone są wspaniałe okna smukłe, o żelaznej wiotkiej konstrukcji, wypełnione szkłem katedralnem o kolorach pastelowych.

Nawę przykrywa plafon płaski, z widocznemi belkami prostokątnemi w partji środkowej, a kasetonami nad chórem i w części przypierającej do prezbiterjum. Z łuku tęczowego wypływa prezbiterjum we formie kształtnej konchy. W niej na znacznem podwyższeniu umieszczony jest ołtarz wielki.

Tak wnętrze kościoła, jak i jego zewnętrzną szatę, cechuje prostota. Gładkie ściany i czyste linje markują dobrze rozkład mas. Główny korpus kościoła wyprawiony w zaprawie cementowowapiennej w tonie jasno białym. Z powodu wyczerpania się środków materjalnych, wiele robót rzemieślniczych wykonano prowizorycznie.

Po lewej stronie kościoła, lekko dotykając jego korpusu, wznosi się wspaniała wieża kwadratowa o wysokości 60 m. nad posadzką kościoła, zakończona nie hełmem, lecz, jak kampanile włoskie, piękną, powiewną glorjetą.

Do budowy wieży użyto betonu zbrojnego, drzewo zastąpiono żelazem z którego wykonano wszystkie konstrukcje dachów i okna.

Kościół Matki Boskiej Ostrobramskiej może pomieścić 1300 do 1400 osób, nie jest wiele mniejszy od kościoła parafjalnego w Tarnopolu, który przed 25 laty wybudował obecny ks. Arcybiskup, jako ówczesny proboszcz parafji tarnopolskiej. Niedawno konsekrował Arcypasterz kościół parafjalny w Tarnopolu; dnia 8 września dokonał konsekracji kościoła św. Elżbiety we Lwowie, zbudowanego również przed 25 laty przez śp. Ks. Arcybiskupa Józefa Bilczewskiego, za kilka dni konsekrować będzie swój drugi wielki kościół Matki Boskiej Ostrobramskiej, a wszystko na chwałę Bożą i na cześć Przenajświętszej Panny Opiekunki od wieków Narodu Polskiego.

Stefan Neuhoff

EARNEST HOLM 4

„Ślepy Jack“

— Właśnie o tem chcę ci powiedzieć. Wychodził, ale nikt nie wie dokąd. Co popołudnia bez wyjątku wyjeżdża autem i niezmiennie do tego samego celu — do małej wsi w Kent, około 25 mil*) stąd. Zatrzymywał wóz na jednym końcu wsi, wchodził w zarośla i znikał na kilka godzin. Nasze poszukiwania wykazały, że zatrzymywał się dłuższy czas w kościele, w starym budynku z czasów Saskich, którego fundamenta postawiono przed tysiącem lat. Dokładnie po dwóch godzinach, punktualnie jak zegarek, powracał wsiadał do auta — które wynajął — i odjeżdżał do Nottingham Place.

— Jak nazywa się ta wieś?

— Beverley Manor, — rzekł nadkomisarz. — A zatem dalej. W środę popołudniu po raz pierwszy sprzeniewierzył się swojemu przyzwyczajeniu i przyjął zaproszenie niejakiego doktora Stephen'a Judd'a na premjerę nowej rewji w teatrze Macready; doktor Stephen Judd jest naczelnym dyrektorem towarzystwa ubezpieczeń Greenwich, małego towarzystwa — coś w rodzaju familijnego koncernu, cieszy się jednak w City dobrą reputacją. Mr. Judd jest amatorem sztuk pięknych i właścicielem ślicznego domu w Chelsea. Na premierze miał Judd lożę — według sprawozdania gazet, mówiąc ubocznie, sztuka była straszna, — mianowicie lożę „A“. Stuart nadszedł i, jak zeznał Judd, był niezwykle niespokojny. W czasie pauzy między drugim, a trzecim aktem znikł niespodzianie z teatru i nie powrócił, zobaczono go powtórnie dopiero wówczas, gdy wyłowiono na wybrzeżu Tamizy jego trupa.

— A jaka była tej nocy pogoda? — spytał Larry.

— Z początku ładna, potem jednak ciemna z inklinacją do zachmurzenia, — odparł Sir John. — Strażnik, który w danym odcinku, gdzie znaleziono trupa, pełnił służbę, zdał raport, że między pół do czwartej, a pół do piątej panowała gęsta mgła.

Larry przytaknął. — Czy istnieje możliwość, by mgła zmyliła drogę i spadła na rzekę?

— Zupełnie wykluczone, — rzekł z naciskiem Sir John. — Od czasu jego zniknięcia do godziny pół do trzeciej rano było wybrzeże wolne od mgły, a nikt go nie widział. Powtarzam: do tego czasu noc była zupełnie jasna.

— A teraz zachodzi pewien szczególny wypadek, — ciągnął nadkomisarz. — Gdy go odnaleziono, leżał na schodach, tylko nogi zwisały do wody — i, — powoli dodał, — fale jeszcze wzbierały.

Larry spojrzał zdumiony.

— Czy chcesz może przez to powiedzieć, że nie został wyrzucony przez przypływ — spytał niedowierzająco. — W jaki wobec tego sposób znalazłby się tam, z nogami w wodzie, i to wówczas, gdy woda przybierała? A jednak musiał to być odpływ, gdyż jak sobie wytłumaczę inaczej jego pozycję na schodach?

— Ja twierdzę to samo, — przytaknął Sir John. — Jeśli nie utonął bezpośrednio po opuszczeniu teatru, gdy rzeka była na najwyższym poziomie i zaczynała opadać, w takim razie wydaje się rzeczą prawie nieprawdopodobną, by z nastaniem dnia, gdy woda powtórnie zaczynała się podnosić, mógł dostać się na schody.

Larry w zamyśleniu tarł podbródek.

— To wygląda podejrzanie, — rzekł. — Czy niema wątpliwości, że utonął?

— Najmniejszej, — odrzekł nadkomisarz, wyciągnął szufladę i wyjął z niej szalkę, na której leżały rozmaite przedmioty. — To znaleźliśmy w jego kieszeniach. Zegarek, łańcuszek, papierośnica i ten kawałek zwiniętego bromowego papieru.

Larry wziął w palce ... przedmiot. Był długości około trzech centymetrów i jeszcze wilgotny.

— Niema na nim ani słowa, — rzekł Sir John. — Gdy mi te rzeczy przyniesiono, natychmiast ten papier rozwinąłem, zaraz jednak zdecydowałem się zwinąć, by poddać dokładniejszym oględzinom po wyschnięciu.

Larry obserwował zegarek, zwykły, złoty zegarek z odskakującem wiekiem.

— Nic, — rzekł i zatrzasnął wieko, — prócz tego, że stanął dwadzieścia minut przed dwunastą — najprawdopodobniej w godzinie śmierci.

Sir John przytaknął.

— Łańcuszek jest ze złota i platyny, — mruczał w zamyśleniu Larry, — a na końcu jest — no, co to?

Na końcu łańcuszka zwisała mała, złota rurka, długości około czterech centymetrów.

— Aha, etui z złotego ołówka, — rzekł Larry. — Czy nie znaleziono brakującego ołówka? — Sir John zaprzeczył głową.

— Nie, to wszystko, co znaleziono. Widocznie Stuart nie miał zwyczaju noszenia pierścieni. Każę wszystko odesłać do twojego biura. Przypuszczam, że zajmiesz się tą sprawą?

— Cóż więc jest ciekawego w tym wypadku? — spytał Larry powoli. — Czy uważasz tę sprawę za podejrzaną?

Przez chwilę nadkomisarz milczał.

— Tak i nie, — rzekł. — Mam wrażenie, że moglibyśmy się tutaj dopatrzeć oznak przestępstwa. Tylko sam fakt, że znaleziono go podczas przypływu, gdy bezwątpienia znalazł śmierć w czasie odpływu, skłania mię do nie traktowania sprawy jako naturalnego wypadku utonięcia i nie byłbym właściwym urzędowym oględzin zwłok, gdyby istniała możliwość nieszczęśliwego wypadku.

Larry na nowo obserwował zegarek.

— Ciekawe, — rzekł nawpół do siebie, poczem ciągnął dalej: — Mogę chyba te rzeczy zaraz zabrać z sobą do biura?

(C. d. n.)

*) angielskich.

Mózg ludzki radjostacją nadawczą

Komórki Purkiniego antenami. — Co to jest pole elektryczne. — Tajemnica różdżkarzy. Radjobiologja

Ostatnie odkrycia w dziedzinie fizyki otworzyły wiedzy ludzkiej nowe, niegarnione horyzonty. Promieniowanie radu, promienie ulrtafioletowe, kosmiczne, Roentgena, fale radjowe, — oto cały szereg zjawisk, których pełnego znaczenia dla życia organicznego w ogólności, a dla człowieka w szczególności jeszcze dziś ocenić nie umiemy

Że jednak znaczenia tego zapoznawać nie wolno, mamy na to już dziś cały szereg przekonywujących dowodów. Znaną jest rzeczą, jak ogromną rolę w medycynie odgrywa dziś promieniowanie radu: wiadomo nam, że tzw. „krótkie fale" o długości 3—15 mtr. stosowane bywają coraz wydatniej w terapeutyce, — że można zapomocą fal radjowych o bardzo wysokiej frekwencji wywołać sztuczną gorączkę, będącą skutecznym środkiem w walce z niektóremi ciężkiemi chorobami.

Nie będzie przesady jeśli powiemy, ze w otaczającym nas eterze kosmicznym przepływają bez przerwy miljardy fal i tajemniczych, niewidzialnych promieni, pod których wpływem pozostaje całe życie organiczne.

A skoro zjawisko promieniowania tych fal stwierdzone zostało w świecie nieorganicznym, w najdrobniejszych atomach i molekułach, — prosta logika rozumowania każe nam szukać identycznych, lub przynajmniej analogicznych zjawisk również i w świecie organicznym w świecie istot żyjących.

* * *

W tym kierunku pierwsze, niepewne jeszcze kroki, już zrobiono.

A więc uczony jugosłowiański, prof. dr. N. Krainskij, **na podstawie długoletnich studjów, wysuwa śmiałą tezę**, iż człowiek posiada **precyzyjny radjoaparat, mieszczący się w mózgu, a właściwie w móżdżku.**

Prof. Krainskij, badając budowę histologiczną **móżdżka i opierając się na doświadczeniach fizjologicznych** dochodzi do wniosku, iż móżdżek, dzięki swej specjalnej budowie **emituje fale radjowe po całem ciele, regulując ruchy mięśni**, oraz czynności wegetatywne.

Emisja ta odbywa się nie zapomocą **włókien nerwowych, lecz bezpośrednio po całem ciele**, a funkcję tej radjostacji nadawczej spełniają tak zwane **komórki Purkini'ego**, przypominające wyglądem **swym elektrostatyczne anteny z indukcyjnemi złączeniami.**

Zdaniem prof. Krainskiego cały system nerwowy służy do przenoszenia **wrażeń uczuciowych do „centrali" radjostacji, którą jest mózg.** Wrażenia **czuciowe muszą iść tą właśnie drogą. Idzie tu bowiem o dokładne umiejscowienie i ocenę tych wrażeń, co jest niezmiernie ważnem dla bezpieczeństwa całego organizmu.**

Natomiast móżdżek — oraz kora mózgowa, — przyjmując wrażenia z zewnątrz, czy też „raporty" płynące do niego za pośrednictwem „drutów" nerwowych, — wysyła dyspozycje drogą fal radjowych, z pominięciem dróg nerwowych.

Na poparcie tej śmiałej teorji przytacza Krainskij cały szereg doświadczeń i obserwacyj, których powtarzanie za daleko by nas jednak zaprowadziło.

Bądź co bądź teorja ta wywołała ogromne **zainteresowanie w świecie** uczonych i kto wie, czy nie otwiera ona nowej epoki w dziedzinie tych badań.

* * *

Łączy się z tem inne, niemniej interesujące zagadnienie. Zupełnie słusznie i trafnie zwraca prof. Krainskij uwagę, że istnieje cały szereg procesów psychicznych, o wysokim nieraz napięciu, a nie wywołujących żadnych cielesnych reakcyj, — żeby tylko przytoczyć np. intenzywne myślenie.

Prawo zachowania energji żąda, aby podobne procesy przeistaczały się jednak w jakąś inną formę. Przyjmując teorję wytwarzania się w mózgu **energji elektrycznej** (elektrostatycznej), — proces podobny winien powodować **promieniowanie wytworzonej energji na zewnątrz**, poza obręb ciała ludzkiego. Jednem słowem następować powinna pewnego rodzaju **radio emisja**, wytwarzając w pewnym promieniu dokoła tej osoby **pole elektryczne.**

Jeżeli w obrębie tego pola znajduje się druga osoba, — może ona odczuć silniej lub słabiej działanie tej energji elektrycznej, — co już zależy od „rezonansu", tj. od tego, czy dana osoba jest lepiej lub gorzej „nastrojona" na długość fali, emitowanej Są to, naturalnie, jak dotychczas, tylko supozycje, pozwalające nam jednak wytłómaczyć tego rodzaju zjawiska, jak telepatia, hypnoza, nagła sympatja, jaką odczuwają nieraz wzajemnie ludzie przy pierwszem spotkaniu itp.

W tem może tkwi także tajemnica powodzenia i uroku, jaki wywiera na otoczenie np. doskonały mówca, oraz owego „sex - appel", czy „muz", będących natchnieniem wielkich artystów.

A wreszcie jeszcze jedno, — to związek między promieniowaniem ciał organicznych i nieorganicznych. Wychodząc z powyższego założenia możemy łatwiej wytłómaczyć sobie, na czem polegają owe tajemnicze zdolności „różdżkarzy", zdolnych odkryć w głębi ziemi źródła wody czy nafty, pokłady węgla czy szlachetnej rudy. Dzięki specjalnej konstrukcji ich radjostacji mózgowej potrafią oni wyczuć najsubtelniejsze promieniowanie ciał organicznych, promieniowanie, kóre u tysięcy innych, przeciętnych ludzi nie natrafia na właściwy „rezonans".

Jak zaznaczyliśmy, są to wszystko na razie tylko teoretyczne rozważania i supozycje. Zagadnienia te jednak interesują żywo cały świat naukowy, czego dowodem najlepszym były obrady odbytego niedawno w Wenecji międzynarodowego kongresu fizjologów, fizyków i elektro - biologów, pod przewodnictwem Marconi'ego.

Na kongresie tym zrodziła się nowa gałąź wiedzy: **radjo - biologja**, mająca za zadanie właśnie dalsze studja nad temi wszystkiemi zagadkowemi zjawiskami, których poznanie stanowić będzie dalszy, wielki krok naprzód, zarówno w dziedzinie ogólnej wiedzy, jak i w zakresie medycyny. (R.)

Pierwszy raz przed mikrofonem radja

Mam pewną słabość do ankiet wszelkiego rodzaju, i to oddawna. Tak się złożyło, iż zanim wystąpiłem po raz pierwszy przed mikrofonem radja i to niemieckiego, wiedziałem już z relacyj przedstawicieli wszelkich dziedzin sztuki wykonawczej, nadesłanych w odpowiedzi na ankietę, o wszystkich okropnościach, związanych z podobnym debiutem. Czytało się tam bowiem, iż prelegenci w chwili decydującej, z powodu tremy głosu z siebie dobyć nie mogą, zwyczajna pewność ich wystąpienia doznaje widocznego załamania, gdyby nie starannie przepisany skrypt widniejący na pulpicie debiutanta, niewiadomo czyby ten „kwadrans literacki" lub „fejleton aktualny" dobrnął do szczęśliwego końca. Muzykom zaś drętwieją w tej sytuacji palce, pamięć ich opuszcza i z trudem mogą opanować swe rozdygotane nerwy. Reszty dokonali moi znajomi, zapewniając mnie, iż nie zawsze tak źle się kończy, pozatem mogę mieć więcej od innych szczęścia, a przy pewnej rutynie koncertowej jaką posiadam, może się przydarzyć nawet udatna audycja.

Tak podniesiony na duchu spoglądałem już śmiało w przyszłość, składając przebieg całej imprezy w ręce przeznaczenia. Ono tymczasem — jeśli chodzi o tzw. „prawo serji nieszczęśliwych wypadków" — przekroczyło najśmielsze oczekiwania moich znajomych o bojga płci.

Już od samego rana w owym pamiętnym dniu czułem się dziwnie nieswojo, a widmo kasarnianego bloku, mieszczącego radjo berlińskie, stawało coraz bliżej, przytłaczając swym ogromem wszelką swobodniejszą myśl. Jakoż na samym wstępie do gmachu — po wylegitymowaniu się u kilku funkcjonarjuszy radja — oświadczono mi po odnalezieniu mojego nazwiska w jakichś kilometrowych wykazach, iż niepotrzebnie się pojawiłem w godzinę przed naznaczonym terminem audycji, a ponieważ wszystkie studja są zajęte, więc mógłbym pozostały czas spędzić gdziekolwiek indziej z jednakowym pożytkiem.

Jako że wszystko mija, więc i ta godzina oczekiwania przeszła, a w 10 minut przed rozpoczęciem audycji badałem już teren przyszłej walki, zaznajamiając się równocześnie ze znaczeniem sygnałów świetlnych. Ponieważ były aż trojakie i to odmienne, niż mi przedtem wrazili w pamięć znajomi, a nie wypadało jakoś pytać powtórnie o ich kolejność, więc przeczucia moje stawały się coraz posępniejsze, tem bardziej, iż pojawiające się co chwila w innym kącie twarze mi obce i obojętne — zupełnie jak w III. akcie „Kawalera z róża" R. Straussa — nie wróżyły nic dobrego. Na dalsze jednak rozważania zabrakło już czasu, gdyż po kolei zabłysły światła w przepisowym porządku, poczem czemprędzej, ale zawcześnie — jak się później okazało — uderzyłem struchlałemi palcami pierwsze akordy — oczywiście nieczysto. Zapomniałem jeszcze dodać, iż na tę pierwszą audycję fortepianową wybrałem nieznane zupełnie utwory z manuskryptu, mało również znanego kompozytora fińskiego, wyobrażając sobie zupełnie słusznie, iż kontrola w podobnym wypadku jest niemożliwą i „swoboda" moich rękoczynów ujdzie zresztą bezkarnie. Ponieważ kompozytora przezornie nie uwiadomiłem o czekającym go zaszczycie, więc też wątpię, czy kiedykolwiek wyjdzie na jaw to wszystko, co się działo w obrębie tych niewielu krótkich impresyj, już z pochodzenia dość modernistycznych.

W każdym razie lodowata mina urzędnika, wręczającego umówione honorarjum, pozostanie mi na zawsze w pamięci. Zdołał mi jeszcze tylko zakomunikować, iż z powodu przekroczenia przezemnie czasu przepisanego, wyłączono mikrofon na krótko przed zakończeniem ostatniego utworu, wrażenie jednak wywołane tem oświadczeniem, nie było tak piorunujące, jak się tego zapewne spodziewał mój informator. Jeśli jeszcze dodam, iż w drodze powrotnej zostawiłem w kolejce podziemnej tekę z nutami, to zdaje mi się, iż w ogólnych zarysach skreśliłem zasadnicze momenty tej pierwszej mojej audycji radjowej i towarzyszące jej okoliczności.

Od chwili mego mikrofonowego debiutu minęło sporo czasu. Dziś, gdy występuję w studjo warszawskiem, czy lwowskiem, gdzie otacza mię atmosfera pełna serdeczności, wspominam nieraz z uśmiechem ten swój pierwszy występ. (x)

Ciekawostki radjowe

Rzecz zapatrywania. Pewien wielki dziennik włoski urządził wśród swych czytelników ankietę na temat: „Co jest największą wadą radja?" — Uprawianie reklamy przez radjo, — zaopinjowała większość czytelników.

W tym samym prawie czasie jeden z dzienników nowojorskich zorganizował plebiscyt na temat: „Co jest największą zaletą radja" — Możliwość wykorzystania go do celów reklamy, — brzmiała jednogłośnie odpowiedź... Słusznie mówi przysłowie, że jeszcze się taki nie urodził, coby wszystkim dogodził!

Ilość radjostacyj na całej kuli ziemskiej wynosi wedle dat statystycznych za pierwsze półrocze br. — 1398, z czego Europa posiada 282, Ameryka 949 stacyj. Wszystkie te stacje posiadają łącznie energję 9198 kilowatów.

Dr. Marconi. Z okazji 60 rocznicy urodzin Marconiego Uniwersytet w Bolonji nadał mu godność honorową doktora. Ekscelencja, — senator, — członek Akademji, — markiz — doktor... ma wielki wynalazca duży wybór w tytułach i godnościach.

Radjowa propaganda polityczna. Radjo czechosłowackie nosi się z zamiarem wprowadzenia w najbliższym czasie prelekcyj, pogadanek i produkcyj artystycznych w języku ukraińskim. Audycje te nadawane będą przez stacje znajdujące się w Słowacji, których zasięg jest dość znaczny.

Równocześnie radjostacja we Wrocławiu zaczęła nadanie audycyj, przeznaczonych specjalnie dla Niemców, żyjących poza granicami Rzeszy. Należałoby na te audycje zwrócić baczniejszą uwagę, — wedle bowiem międzynarodowej konwencji wszelka propaganda polityczna przez radjo jest zabroniona.

Wystawa radjowa w Berlinie dała nadspodziewanie pomyślny wynik. Podobno sprzedano przez czas trwania wystawy nie mniej jak 200 tysięcy tzw. „ludowych" odbiorników radjowych.

Liczba radjosłuchaczy w Niemczech przekroczyła już pięć i pół miljona.

Radjo we Francji. Dzięki znacznym rządowym kredytom podjęto we Francji zakrojone na wielką skalę prace celem rozbudowy sieci radjostacyj.

Obecnie już dwie stacje, a to w Lyonie i w Tuluzie zostały przebudowane, przy wzmocnieniu ich energji do 120 kilowatów, — i rozpoczęły już nadawanie próbnych audycyj.

Beromünster, znana szwajcarska radjostacja, przeszła obecnie na sto kw., stając w rzędzie najsilniejszych stacyj europejskich.

Targi jesienne w Pradze. W ramach tych targów odbywała się wystawa i sprzedaż sprzętu radjowego, ciesząc się ogromnem powodzeniem. Sprzedano ponad 30 tysięcy radjoaparatów, a obrót ogólny wynosił około sześćdziesiąt miljonów koron! Astronomiczne cyfry, w porównaniu z naszemi stosunkami.

ŚWIAT KOBIECY

Ploteczki o modzie

— Nietylko u nas, ale i w Paryżu sezon jesienny już się naprawdę rozpoczął. Opustoszały letniska i eleganckie plaże nadmorskie, — stolica przybrała już swój wygląd normalny.

To też wielkie magazyny paryskie przygotowawszy się zawczasu do kampanji jesiennej, odsłaniają obecnie wszystkie tajniki nadchodzącej mody.

A moda obecna znajdzie łaskę w oczach wszystkich bez wyjątku kobiet. Tem łatwiej i pewniej, że przynosi olbrzymi wybór modeli, wśród których każda kobieta znajdzie coś odpowiedniego dla siebie.

Pozwala ona na tak znaczne odchylenia, że jeden model od drugiego różnić się może wprost djametralnie. Wszystkie jednak mają jedną wspólną cechę i zaletę: podkreślają urok prawdziwej kobiecości.

— Styl „empire" przypominają przerozmaite rewersy, krawatki, żaboty, wolanty.

— Rękawy półdługie, zupełnie długie, nierzadko „balonowe", u dołu szerokie, przybrane krótkiem futerkiem, lub przeciwnie, mocno zwężone.

— Stan nieco wyższy: obok bardzo szerokich skórkowych pasków — suknie zupełnie bez paska.

— Suknie długie, do kostek, bardzo obcisłe, rozcięte z boku, z przodu lub z tyłu, — tyle tylko, by ułatwić swobodne poruszanie się.

— Dużo tunik, różnej długości, z błyszczącej lamy, lub naszywanych paietkami.

— Suknie, zwłaszcza wizytowe, zapinane z tyłu.

— Również i w kołnierzach ogromna rozmaitość: w jednych modelach niema zupełnie kołnierza, w innych wysokie stojące kołnierze, nierzadko futrzane.

— Płaszcze jesienne obcisłe, ramiona opadają łagodną, zaokrągloną linją ku dołowi. I tu jednak duża rozmaitość widzi się też i płaszcze luźniejsze, poszerzone ku dołowi. Szerokie futrzane kołnierze, — obok zupełnie niskich, z tego samego materjału co płaszcz.

— Guziki, klipsy, agrafki, najrozmaitszej formy i z najrozmaitszych materjałów, stanowią nadal ulubione przy przybranie każdego kostjumu.

— Z kolorów najwięcej się widzi — obok czarnego — łagodny fiolet dojrzałych śliwek i winogron, rdzawą purpurę liści dzikiego wina we wszystkich odcieniach, stalowy ciemny błękit kruczych piór, — wreszcie melancholijną szarość mgły jesiennej.

— Żywszą i weselszą nutę wnoszą do tych prawdziwie jesiennych kolorów jakieś sztuczne kwiaty, czy biały kołnierzyk lub żabot, czy wreszcie jasne bluzki lub tuniki z błyszczącej lamy.

— W kapeluszach również zupełna swoboda. Nowością są obecnie w Paryżu zgrabne kapelusiki na wzór „tyrolskich", I moda, jak się pokazuje, pozostaje do pewnego stopnia pod wpływem nastrojów politycznych.



Strojna suknia wizytowa z oryginalnem poszerzeniem na biodrach. (mod. Lanvin)

Bielizna kolorowa

Trwająca już od kilku lat moda bielizny kolorowej jest bardzo praktyczna i cieszy się wielkiem powodzeniem. Wykwintniejszą robimy z dobrych jedwabi do prania, ozdabiamy ładną, delikatną koronką, albo ręcznym haftem, obecnie bardzo modnym, no i trzeba przyznać, — praktycznym. Kolory dobieramy jasne, pastelowe. Wszelkie odcienie różowego, łososiowego, morelowego, kremowego i jasnego seledynu przedstawiają bogaty wybór, tak, że każda pani może nosić ulubiony swój kolor bielizny.

Pod suknie jedwabne wizytowe i wieczorowe kładzie się jedwabną kombinezkę albo tzw. spód, noszone w tym samym kolorze co i suknia. Żeby ożywić jednostajny, często ciemny kolor kombinezki przyozdabiamy ją kolorem żywszym, jaśniejszym. Bardzo ładne i efektowne jest połączenie kolorów bronzowego z morelowym, albo leciutko niebieskim. Jasnym jedwabiem przyozdabiamy zwykle ciemną kombinezkę u góry, często także pomysłowo wstawiamy je u dołu.

Trzeba przyznać, że jedwabna bielizna jest bardzo efektowna, nader miła w noszeniu i łatwo się pierze jest także niezbyt droga, zwłaszcza jeżeli ją pani sama uszyć i wyhaftować potrafi. Niestety, ma tylko tę jedną wielką wadę, że w porównaniu do bielizny batystowej czy opalowej, jest znacznie mniej trwała. Ale teraz panie nie sprawiają sobie przecież bielizny na całe życie.

Śliwki w occie

Przegotować ocet z cukrem, cynamonem i goździkami. Ilość zależna od smaku. Tem zalać pokłóte śliwki. Po paru godzinach ocet zlać znowu przegotować i nim zalać znowu śliwki. Trzeci raz zlać (jeśli uważa się że zamało słodkie to dosypać cukru) przegotować i w gotujący ocet wrzucić śliwki, żeby się parę razy zagotowały i odstawić.

Rehabilitacja kobiecej sylwetki

Sezon jesienny przywrócił niemal zatraconą dotychczas kobiecą sylwetkę. Znikła rażąca figura boksera, z szerokiemi ramionami, podniesionemi nienaturalnie ku górze.

Nowa linja stwarza suknie i bluzki z miękko układających się tkanin zwiewne żaboty, luźno z ukosa krojone, drapujące się u góry staników. Suknia zato podkreśla krągłość bioder, lub jeśli tej okrągłości niema, surowość linji tuszuje nadana falbana lub baskina. Należy pamiętać o tem, że niema mowy a zwężaniu ramion na korzyść szerokości bioder.

Zaczyna się „nosić" dekolt. Modne będzie wycięcie w karo, co oczywiście przekreśla możliwości ożywiania sukien kołnierzykami i kokardami, podchodzącemi pod samą szyję. Pięknem urozmaiceniem sukni tak wyciętej będzie kwiat, staroświecka, duża brosza i przeróżne medaljony i naszyjniki.



Aksamitna suknia wieczorowa. (mod. Molyneux)

Płaszczyk dla dziewczynki do 8 lat



Podajemy obok krój praktycznego zgrabnego płaszczyka z tem, że zależnie od wzrostu dziecka należy podane przez nas we wzorze wymiary odpowiednio zwiększyć lub zmniejszyć.

Na płaszczyk potrzeba 1,75 mtr. sukna lub weluru, o szerokości 1·20 mtr. Płaszczyk zapinany na 4 guziki, prócz tego przyszywamy trzy mniejsze guziczki z boku dla przybrania. Plecy bez szwu, z kontrafałdą. Kołnierz podwójny, tak samo jak i pasek, zapinany na jeden lub dwa guziczki.

Uzupełnieniem stroju jest berecik w tym samym kolorze co płaszcz.

